

Hamlet a Szczęsny.

(Sylwetki psychologiczne).

Wielu się nad Hamletem zastanawiało i duchowość jego rozpatrywało. Porównawczej jednak syntezy duchowej Hamleta i Szczęsnego nie spotykaliśmy, a więc postaramy się pokrótce uwypuklić znamiennejsze cechy tych dwóch bohaterów europejskiej poezji.

Osnowę do Hamleta zaczerpnął Szekspir z podań starych kronikarzy choć ją wielce przeinaczył. Promotorem tragedji szekspirowskiej jest wyżej wspomniany — królewicz duński — Hamlet. Więzy psychiczne są w tej postaci nader poplątane, a więc rozwiązanie „węzła gordyjskiego”, jakim śmiało można nazwać strukturę duchową Hamleta, jest rzeczą wielce trudną, wprost niewykonalną! Co zaś do Szczęsnego, to zadanie mamy ułatwione, gdyż ów został wyraziściej... naszkicowany przez poetę, jeśli tego zwrotu użyć tu możemy, a mniejsze dając tworzywo duchowe — mniej wymaga pracy.

Nadewszystko zauważyć się da, e, iż obaj oni (Hamlet i Szczęsny) są z góry jakby przeznaczeni przez swych genialnych twórców do rzeczy przepotężnych, do czynów, jak się okazuje, przerastających ich siłę woli i hart ducha...

Są oni typami górującymi ponad przytłaczającą szarą powszedniością.

Chcienie czynu pożera i spala obu bohaterów: duńskiego i polskiego. I oto widzimy jak ciągle i wszędy owo zachcenie i pożądanie czynu jest w ogromnej niewspółmierności względem środków potrzebnych do jego urzeczywistnień, a z woli — nie zaś z bujnej poniekąd chorobliwej i przeczulonej wyobraźni — tryska ożywcze siedlisko czynu

wszelkiego. Ci woli nie mieli, a więc i czynu wyłonić z siebie nie potrafili i w tem upatrujemy ten zasadniczy, tragiczny konflikt między ideałami a rzeczywistością tych dwóch bohaterów. Zdają się oni żyć silniej w chwili jeno nastroju... lecz poza nim gorsza jeszcze, nim przody, pustka, otchłań bezkreśna ciągnie ich ku sobie.

Hamlet i Szczęsny nabierają jeszcze dlatego tak silnego tragizmu, gdyż jak jeden tak i drugi, uprzytomnia sobie swą niemoc wewnętrzną, która druzgoce ich najpiękniejsze kwiaty myśli i serca, topiąc je... we frazesie.

Ta walka niemocy, bezwoli z zachcieniem woli i czynu— łamie obydwuch, i jeden i drugi przeżywa smętarne chwile upadku, zniechęcenia, jednym słowem, tak zw. „hamletyzmu"! Szczęsny staje się nawet tak ustępliwy względem losu, iż daje mu się rzucać jak piłką, po rozhukanej fali życia. Posiadając wrodzoną intuicję, stara się wzrokiem przebić zasłonę, którą psotliwy los zasnuł mu drogi przeznaczenia, lecz wszystko bez skutku...

Tak jak w Hamlecie panuje pierwiastek porywczosci uczuć, nieokiełznaności popędów, tak w Szczęsnym znalazł przytulisko bezgraniczny smutek, smutek nierozproszony nawet obecnością kochanicy, głęboko w duszę wrosły, wprost jej żywioł stanowiący.

Obaj są naturami refleksyjnemi, samobadawczemi. Ich ciąglem i panującym dążeniem jest wgłębianie się w wewnętrzną wartość i prawidłowość przejętej z zewnątrz treści.

Z tej głębokiej samobadawczości płynie ich filozoficzność, myślicielskość...

U obu bohaterów nie należy również zapoznawać pierwiastka miłosnego, gdyż odgrywa w ich uczuciowości dominującą rolę. Hamlet i Szczęsny po wielkich porywach miłości synowskiej, jednak znów spadają w pustkę duchową i trawia swe mózgi pytaniem: „co dalej?..." Odpowiedzi, niestety, znaleźć nie są w możności, bo takie już „przeznaczenie", by w walce z urągliwym losem sproszkowały się osobowości tych dwóch — klasycznych „bezwolników"!

Teraz przejdźmy do zebrania zasadniczych znamion charakterów tych wyżej zestawionych ogólnikowo postaci. Poczniemy od Hamleta.

Robi on wrażenie jakgdyby tę postać zestrojono głównie z nerwów, przeczuć, odruchów i wrażeń; każdy fakt w bytowaniu Hamleta zda się w duszy jego wywoływać stokrotny odgłos. Jest on skrzętnym zbieraczem i utrwalaczem przeżyć i postrzeżeń (w każdej sytuacji pamięta ów sfinks psychiczny o swym zapiśniku). Sarkazm znalazł w nim niepośledniego mistrza, to też chłoszcze biczem szydu zgryźliwego lalkę dworską — Ozryka i podkomorzego Polonjusza. Myśl jego zasnuwa natłok pochmurnych poglądów na świat, ludzi i zagadkę bytu, o rozwiązanie której kusi się nadaremno.

Hamlet oddaje się z jakowąś dziwną namiętnością — rozmyślaniom nad zagadką bytu i stara się roztrząsać wszelkie problemy przy pomocy dociekań filozoficznych, to też każde jego powiedzenie zawiera w sobie nieskończenie głęboką myśl, ideę przewodnią. Zdradza on wielkie uduchowanie i pewną dozę mistycyzmu — patrząc często oczami duszy w głąbie nieznanego zaświatów i bujając myślą po kosmicznych nieskończonościach. Przyrównując się wtedy do wszechrzeczy, widzi jaskrawie swą nicość, małość... Niemożność rozwiązania konkretnego tych wszystkich złożonych i arcytrudnych zagadnień absolutu, zda się, jeszcze bardziej spychać Hamleta w ów odmęt zwątpienia i pesymizmu, w których znajduje ujście dla swych skołatanych, rozbieżnych myśli. Hamlet stwarza sobie wizje nowego bezcielesnego, pozaziemskiego żywota, o którym jednak nic, krom poetyckich rojeń, powiedzieć nie może.

Czuje też wstręt do skorupy ziemskiej, po której przeznaczono mu: stapać, dalej żyć i... cierpieć.

„Jak nudnym, nędznym i jałowym
zda mi się cały obrót świata tego,
to niepielony ogród samym bujnie
krzewiącym się chwastem porosły!” —

rzecze Hamlet — pochmurnik.

Na życie całe z jego bujnemi owocami piękna i rozkoszy, odczuwanemi przez każdą zdrową naturę, Hamlet potrafił znaleźć jedną li tylko odpowiedź: nicość, nicość i nicość!... Tym też smętarnym światopoglądem Hamleta wytłu-

maczyć sobie możemy cały ogrom lekceważenia własnego życia, którego nie ceni wyżej nad... szpilkę. Jest nasz bohater również genialnym samokrytykiem i naziera w sobie wiele wad, przywar i błędów, a to go czyni pięknym i szlachetnym.

Mówi się często: „jest w Hamlecie bardzo dużo z usposobienia poety-artysty, zwłaszcza artysty-aktora”. Słusznie, jest w nim nader czynny pierwiastek poetycki (i nie dziwota, boć Hamlet ma w swej jaźni utrwalony ten proces duchowy „przewartościowywania” wartości, który zachodzi w psyche poety tworzącego arcydzieło), jak również zgoda, iż duchowość *Hamleta — deklamatora* i beczynnego *frazeologa* pełnego odruchów, może stanowić integralną część psychiki aktora-artysty, ale nadewszystko jest to przedstawiciel i rzecznik legjonu miłośników harmonji życia, dobra, piękna i szczęśliwości, jedna z duszy zdeptanych przez chamstwo i powszednią brzydotę życiową.

— A Szczęsny?

Ten posiadał wiele, nader wiele z psyche swego genialnego twórcy — króla nastrojowej poezji polskiej i nie obcemi mu są również cechy ogólnoludzkie.

Duchowość Szczęsnego ma rażące podobieństwo z psychiką Hamleta, o czem nietrudno się upewnić. Szczęsny to idealista, marzyciel, roślinka egzotyczna, pełna precudnych woni, to też pod każdym silniejszym podmuchem wichru dziejowego — gniew się i... ulega brzemieniu losu. Bohater Słowackiego jest uczuciowcem, stara się przefilozofować, zgłębić. Gdy jednak chodzi o zebranie swych rozstrzelonych myśli, nie zdolen on do tego, gdyż błędzą one jak człowiek po nieznannej pustyni...

Miłość względem kobiety nie jest dla niego — żywiołem — lecz — pryzmatem, poprzez który Szczęsny wgląda w tajnie kobiecego ducha. Szczęsny zdradza również wielką tężyznę moralną i lekceważenie swego istnienia, co okazuje we wstrząsającej rozmowie ze starym „rycerzem Marji” — Horsztyńskim. Szczęsny widzi jasno swą istotę skazaną na wieczne podbijanie przez burzliwe fale żywota, to też wyrwa mu się z pod trzewi piekące powiedzenie: „wiesz, że ja teraz pokazuję marjonetki” lub... „raz zdaje mi się, że

jestem zanadto wielki, abym mógł skończyć na bruku między bijącą się zgrają i przeciąć niewiadomą śmiercią życie, przeznaczone do wielkich czynów — drugi raz zdaje mi się, że jestem tak mały — tak mały, że niema czem nabić armaty...”

A więc młody Kossakowski sam o sobie literalnie nic nie wie, jest dla siebie znakiem zapytania (?) i to jest najstraszniejszą tragedją ludzkiego ducha, miotającego się w swej własnej nieświadomości. „Zabity jestem na sercu, jak inni ludzie zabici na duszy...” — mówi o sobie Szczęsny. Tragizm czynu, tej igraszki losów (t. j. Szczęsnego), polega na tem, iż polski Hamlet zarzuca pośrednio własnemu rodzicelowi pętlę jakobińską na szyję i burzy zamierzenia polityczne ojcowskie (choć niecne!) swym brakiem woli i dalekowidztwa w sprawach materialnych ziemskich. Dotąd znajdowaliśmy strony zbieżne u obu bohaterów: duńskiego i polskiego, teraz jednak wskaźmy tę zasadniczą przeciwność Hamleta i Szczęsnego. Gdy pierwszy uczucia synowskie poświęcił w całości sprawie pomsty ojcowej krzywdy, która go boli dojmująco — drugi miłość synowską zapoznaje w chwili, gdy staje na rozdrożu uczuć i myśli, a nawet idzie w poprzek zamierzeń ojcowskich...

Mimo wszystkie braki i ułomności charakteru, są to postaci szybujące duchem ku pięknu i wielkości... Postaci to prometejskie i głęboko ujęte przez swych twórców — poetów.

— Praca ludzkiego ducha, głowiącego się nad zagadkami bytu, zczecznać nie może, boć to jeden z rozlicznych objawów ogólnoludzkiego postępu i kultury, a więc stąd wysnuć należałoby pochodzeniowość Hamletów: Słowackiego i Szekspira, jak również i tych przyszłych... Ci Hamleci — przyszłości możemy sobie tuszyć, iż będą — mocarniejsi, tężsi i wyrazistsi. Nakoniec do prac duchów tych dwóch bohaterów poetyckich możemy zastosować słowa naszego mistycznego Micińskiego:

Niech będą błogosławione
drogi rozkrywających się tajni!
I wielkie testamenty Prometeuszów!...”

Ci nam testamentów nie pozostawili, lecz byli Prometeuszami „rozkrywającymi duchowe tajnie!...”

GABRJELA ZAPOLSKA.

Odwet Panny Maliczewskiej. *)

(Fragment).

AKT II.

SCENA 10.

Mieszkanie panny Maliczewskiej. Salon — wspaniałe nagromadzenie świecących lekkich i ciężkich bankierskich sprzętów. Żardinierki złoczone. W nich schną chude, wybudane bez starania palmy. Na ścianach kilka wartościowych płócien i jakieś bohomyzy bezecne klócą się ze sobą. Nawet gipsowa maska i odlew piersi kobiecych na tle wspaniałej wschodniej lnakaty. Nieodłączny szezlong okryty masą skór, na podłodze brudny trochę biały niedźwiedź. Bujający fotel konieczny celem pokazywania jedwabnych pończoch. Na prawo wejście do jadalni— na lewo do sypialni Stefki. Zmierzch.

PANNA MALICZEWSKA (*przystrojona w lekki bardzo peniuar, fruwiący dookoła niej na wzór skrzydeł motyli, wypada z jadalni krzyżąc na Michasiową*): Dalej Pałubo! śpiesz się... taszcz antyki!

MICHASIOWA (*odziana w jakąś nieboszczkę matinkę Stefki, rozdartą, z pękami zawiedłych wstążek*): Co za antyki?

PANNA MALICZEWSKA: Buddhę, barokowego anioła i tę umywalnię z inkrustacją z sypialni.

MICHASIOWA: Ta do czego to? jak zechce Stefka gościom antyki pokazać, no to przecie może zaprowadzić...

*) Utalentowana autorka użyczyła nam łaskawie tego fragmentu z nowej swej sztuki, którą obecnie wykończa. *Przyp. Red.*

PANNA MALICZEWSKA: Dzie? do sypialni. Ho! ho! fintufliszki... ci dzisiejsi goście to delikatnie, honorowo w saloniku...

MICHASIOWA (*zaciekawiona*): A któż to będzie taki?

PANNA MALICZEWSKA (*wyniośle*): Rób Pirlipato swoje, nie pytaj o resztę. Taszcz tu Budasa.

MICHASIOWA: Mogłabyś też się inaczej ze mną obchodzić.

PANNA MALICZEWSKA: Może kiedyś... gdy staniesz się godną mego szacunku. Taszcz Budasa!

(*Michasiowa wchodzi do jadalni. Maliczevska skacze między meblami, gwiżdżąc jak kos w klatce. Michasiowa wnosi czarne popiersie Buddy piękne i wysokiej wartości*).

MICHASIOWA: Oto jest ta czarna małpa.

PANNA MALICZEWSKA (*śmiejąc się, przewraca się po skórach na szezlongu*): Że czarna bestja to czarna... o! o! ty ukochany! (*całuje Buddhę*).

MICHASIOWA: Tfu! całować drewno...

PANNA MALICZEWSKA: Lepiej serdeńko niż żywego! lepiej! przynajmniej nie ukąsi za pocałunek, stuli mordę i już... A żywy za samo serce i potem taka rana, raneczka (*tuli gorączkowo do siebie Buddhę*). Ty mój przynajmniej, ty mój — tylko nas dwoje — na świecie (*wpatrzona głucho przed siebie*). Nas dwoje!

MICHASIOWA: Tak samo Stefka gadała do tego marlarzyska, co tę czarną mordę do Stefki na imieniny przywłóła.

PANNA MALICZEWSKA: A widzisz! a gdzie on? Nacieszył się nią i także poszedł. Szlag by go trafił!...

MICHASIOWA: Ożenił się.

PANNA MALICZEWSKA (*wściekła*): Ta wiem, ta wiem...

MICHASIOWA: I ten mały Daum tyż się ożenił.

PANNA MALICZEWSKA (*j. w.*): Cicho!

MICHASIOWA (*z ironją*): Ja nic, tylko tak konstatuję, że Stefka to ma szczęście. Któryn do nas chodził, to zaraz się ożenił.

PANNA MALICZEWSKA (*rzucając Buddhę w stronę Michasiowej*): Milczeć! Idź do djabła z takim gadaniem. Ja mam i ich i ich żony w pięcie...

MICHASIOWA (*wynosząc Buddhę*): Ja go lepiej stąd wyniosę, bo i on się gotów bogato ożenić.

PANNA MALICZEWSKA (*tarza się chwilę po skórach, wreszcie zrywa się, poprawia włosy, ustawia drobiazgi: anioła, jakąś figurkę, dzbaneczek z XVIII wieku, pas słucki przewiesza przez fotel*): Tak!... niech się dziwi hołota!

MICHASIOWA (*wraca*): No, a co tam z tą kolacją? jakże? tu?

PANNA MALICZEWSKA: Tak! tak! tak!

MICHASIOWA: Czemu nie w jadalni? Taka morowa z mahoniu — dziś poczyściłam brzozy.

PANNA MALICZEWSKA: Jadalnię zobaczą, bo muszą przez nią przechodzić. Nakryte?

MICHASIOWA: Nakrytel (*odsuwa wspaniały parawan i ukazuje się stół niewielki nakryty z profuzją srebra i kryształów*).

PANNA MALICZEWSKA (*zadowolona*): Bycze! Wszystko moje! A gdzież patera na cukierki?

MICHASIOWA: Taż Stefka ją złamała jak ją panu dyrektorowi na głowę rzuciła.

PANNA MALICZEWSKA (*śmiejąc się*): Aha prawda! Ale ma twardą głowę. Patera się rozbiła, a jemu nic...

MICHASIOWA: No... wiadomo. Dyrektor teatru to musi mieć wytrzymały łeb.

PANNA MALICZEWSKA: Koniecznie trzeba patery. To się mało błyszczy (*nagle*). Idź ty do tych na górze, oni pewnie mają...

MICHASIOWA: Tak jak? ta przecież nie dalej jak wczoraj Stefka zakazała im grać na fortepianie, niby że się roli uczy. Ta Stefka z nimi wyprawia, że niech Bóg broni!

PANNA MALICZEWSKA: Takie tam burzuje, takie Dulskie to muszą respekt znać dla artystki? Connu? A zresztą da się im lożę na premjerę jaką, to dadzą nietylko patere ale własne dusze.

MICHASIOWA: Może... (*dzwonek*).

PANNA MALICZEWSKA (*patrzy na zegarek*): Zanieś parawan! To ona!

MICHASIOWA: Ja dziś mam być za co?

PANNA MALICZEWSKA (*prędko*): Za pokojówkę grand

chic! Wynoś się — słyszę jak Stefan drzwi otworzył. — Wynoś się — potem wpuścisz jeszcze jedną osobę — mężczyznę — i więcej nikogo! żeby szewckie chłopcy z nieba spadali!

MICHASIOWA: Nikogo z naszych?

PANNA MALICZEWSKA: Nikogo — bo cię wyżenię.

(Michasiowa wylatuje przez sypialnię. — Stefan wnosi bilet na tacy).

SCENA 11.

Maliczewska. Stefan. Daumowa.

STEFAN: Proszę jaśnie pani!

PANNA MALICZEWSKA (*niedbale*): Dobrze — prosić (*cicho i grubym głosem*) durniu jeden — czemu nie masz rękawiczek na łapach?

STEFAN (*cicho*): Bo przecież... rękawiczki... to...

PANNA MALICZEWSKA: Cicho! won! dawaj tu damę! (*Stefan otwiera drzwi od jadalni, wchodzi Daumowa*).

DAUMOWA (*ciemno, w skromnym wełnianym kostjumie*): Zachwycona jestem pani gniazdkiem.

PANNA MALICZEWSKA (*ściskając ręce Daumowej*): A ja pani uprzejmością w przybyciu do mnie.

DAUMOWA: Żartuje pani. Wszak to prawdziwy zaszczyt być u naszej ulubionej, ukochanej artystki.

PANNA MALICZEWSKA (*słodko*): Naprawdę byłabym pośpieszyła na posiedzenie sama — ale jestem osłabiona jakaś.

DAUMOWA: Rzeczywiście. Pani gra ciągle. Trzeba się oszczędzać trochę.

PANNA MALICZEWSKA: Chciałabym... ale nie mogę.

DAUMOWA: Dyrektor taki srogi?

PANNA MALICZEWSKA: Och! nie on tylko. Autorowie, którzy poprostu nie rozumieją swych sztuk bezemnie... Muszę, formalnie muszę.

DAUMOWA: Pani oszczędzać się winna, pani talent należy do społeczeństwa.

PANNA MALICZEWSKA: Ach! Pani! aktor, aktorka to... efemeryda? praca nas zabija — i przemienia w szybko zapomniane cienie.

DAUMOWA: Nigdy kreacje pani! Pozostaną wieczne! Tak napisał nasz ulubiony krytyk Oskargiełło w „Dzwonie”.

PANNA MALICZEWSKA: Poczciwy — lubi superlatywy (*kaszle*).

DAUMOWA (*troskliwie*): Pani kaszle?

PANNA MALICZEWSKA; Troszkę.

DAUMOWA: Ale to nas nie pozbawi widzenia pani w piątek w tem niezrównanem Przetworzeniu się Estelli? Angielskie to ale nadzwyczajne.

PANNA MALICZEWSKA: Nie wiem... nie wiem...

DAUMOWA: Wydobrzeje pani — tu tak ciepłutko.

PANNA MALICZEWSKA (*niedbale*): Centralne ogrzewanie. Jedynie możliwe.

DAUMOWA (*lekko wzdychając*): Dostępne tylko dla osób zasobnych.

PANNA MALICZEWSKA: To drobnostka...

DAUMOWA: No... płacenie w lecie?

PANNA MALICZEWSKA: Ach! któżby się z tem liczył. Jednak rzeczywiście mam dreszcze (*dzwoni dwa razy*). Jakże tam z naszym rautem.

DAUMOWA: Och! bez pani nic nie uradzono. Pani jest naszą głową, spiritus movens, jak mówi mój mąż. Właśnie podczas posiedzenia dostałam kartkę od pani naznaczającą mi widzenie się u siebie.

PANNA MALICZEWSKA (*skromnie*): Naznaczającą? — proszącą!

DAUMOWA: Naznaczającą! zerwałam posiedzenie i stałam się...

Wchodzi Michasiowa ubrana bardzo correct za pannę służącą w jedwabnym czarnym fartuchu.

MICHASIOWA: Jaśnie pani dzwoniła?

PANNA MALICZEWSKA: Przynieś mi etolę.

MICHASIOWA: Którą? gronostajową czy sobolową?

PANNA MALICZEWSKA: Sobolową!

(Michasiowa wychodzi).

PANNA MALICZEWSKA: Lubi pani sobole? ja do szaleństwa.

DAUMOWA: Lubię...

PANNA MALICZEWSKA: Czy pani nie lubi futer? Pamiętam, że swego czasu miała pani śliczne seelskiny. Ale teraz wyszły z mody. Raczej fantazyjne. Jaką pani ma kombinację? Ja w moim szale doszłam aż do rysiów z gronostajami.

DAUMOWA: Pani nie potrzebuje się liczyć. Teraz samo życie pochłania tyle...

(Michasiowa wnosi etolę sobolową — majątek).

PANNA MALICZEWSKA *(ubierając się cicho — do Michasiowej)*: Buddhę przynieś, postaw w kącie, tam.

MICHASIOWA *(cicho)*: Dobrze mu w kuchni.

PANNA MALICZEWSKA: Milczeń małpiszonie! *(Michasiowa wychodzi — wraca do Daumowej, słodko)*: doskonała służąca. Wybornie ułożona.

DAUMOWA: Rzeczywiście, maniery ma dobre. Inteligentna.

PANNA MALICZEWSKA: O, bardzo! Osoba lepszego pochodzenia. Traktuję ją wyjątkowo. Ale my na naszym stanowisku musimy mieć służbę prima sorta.

DAUMOWA *(przyglądając się sobolom Stefki)*: Ależ to cały majątek.

PANNA MALICZEWSKA: Jeśli się pani podobają, niech pani weźmie.

DAUMOWA: Co? skąd? ależ pani żartuje.

PANNA MALICZEWSKA: Nie. Pani ma takiego brzydkiego lisa. To dla pani. Ja nie rozumiem jak mąż pani...

DAUMOWA: Mąż mój nie zwraca na to uwagi.

PANNA MALICZEWSKA *(swoim głosem)*: Skąpy? co?

DAUMOWA: Troszkę... och! ale wynagradza za to innymi zaletami:

PANNA MALICZEWSKA: Ciągle pani taka w nim zakochana?

DAUMOWA; Jakże mogłoby być inaczej... trzydzieści lat razem. O! to przywiązuje! Przytem on wyjątkowo wierny, oprócz mnie nie widzi innej kobiety.

PANNA MALICZEWSKA: Teraz byłoby mu trochę trudno...

DAUMOWA: Przepraszam! jest jeszcze zawsze bardzo zajmującym i pięknym mężczyzną.

PANNA MALICZEWSKA: Może!

(Dzwonek — wchodzi za chwilę Stefan).

STEFAN *(z biletem na tacy)*: Proszę jaśnie pani!

PANNA MALICZEWSKA *(bierze bilet i czyta)*: Dobrze! poproś *(do Daumowej)* pani pozwoli przeprowadzić się do mojego pokoju. Ta osoba zabawi chwilę tylko. Muszę go przyjąć. To młody, świeżo upieczony recenzent. Bez moich wskazówek nie da sobie rady... A pragnę jeszcze z panią pomówić:

DAUMOWA: Ależ pani, cała przyjemność po mojej stronie.

PANNA MALICZEWSKA *(prowadzi ją na lewo)*: Tam jest dużo keepsachów, Figarów ilustrowanych, albumy bardzo zajmujące.

DAUMOWA: Pani żyje jak w raj!

PANNA MALICZEWSKA: Raj to jest dobre pożycie małżeńskie jak u państwa...

(Wyprowadza ją do sypialni, zapuszcza portjere i wchodzi także do sypialni).

SCENA 12.

Daum, Stefan, później Maliczewska.

DAUM: Więc będzie można się wreszcie z panią zobaczyć?

STEFAN: Zdaje się, że jaśnie pani będzie widzialna.

DAUM *(dając mu pieniądze)*: Masz tu mój chłopaczku i jakoś się postaraj!

STEFAN: Najlepiej byłoby przez pannę służącą.

DAUM: Cóż u diabła tak u was trudno jak w jakiej świątyni?

STEFAN: Ha-no! to już tak!

DAUM: Czy dla wszystkich tak?

STEFAN (*wyniosłe*): Wielmożny pan daruje, ale to do mnie nie należy.

DAUM: Ho! ho!...

(*Ukazuje się Maliczewska, daje znak ręką Stefanowi by odszedł. Daum przysiada do ziemi i mówi szepleniąc jak dziecko*).

DAUM: Stefa! Stefula!...

PANNA MALICZEWSKA (*stoi chwilę nieruchomo, wreszcie z uśmiechem*): Jak?

DAUM (*wyciąga ręce*): Stefula! jak dawniej!

PANNA MALICZEWSKA: Oh! à bas les pattes! (*przygląda mu się badawczo*). Trochę zmieniliśmy się — no! nie ja ale...

DAUM (*zażenowany*): No, tak bardzo chyba nie! Bo co do ciebie to djabelnie jesteś apetyczna... rozwinęłaś się.

PANNA MALICZEWSKA: Wiem! jestem tak zwana szampańska kobieta!

DAUM (*wzięty*): Tiak! tiak! siampańska!

PANNA MALICZEWSKA: Frontowa!

DAUM: Ależ tak! jesteśmy frontowi!

PANNA MALICZEWSKA: Haremowa piękność!

DAUM: Tiak! Tiak! jesteśmy haremowe piękności...

PANNA MALICZEWSKA: Szczególniej ty! (*parska śmiechem przebiega w lansadach scenę, skacze na szezlong i zwiija się na nim*).

DAUM (*biegnie za nią*): Wreszcie powiedziała — ty — (*wyciąga rękę*).

PANNA MALICZEWSKA: Weg mit die Patscherl!

DAUM: Co? co? nauczyliśmy się języków?

PANNA MALICZEWSKA: Français comme Parisienne, deutsch echt Weanerin, inglisich...

DAUM: Po co ci to?

PANNA MALICZEWSKA: Jak mi się zechce grać po jakiemu zagranicą, to będę grała!

DAUM: No, wiesz, ładna jesteś djablo — ale tam z tem graniem... to ci dużo brak.

PANNA MALICZEWSKA: Nieprawda! nic mi nie brak do tego, aby robić karierę na scenie. Wszystkiego dosyć dzięki Bogu i w miarę (*klęka na sofie w pozie odpowiedniej*).

DAUM: Chce sobie przypomnieć dawne dobre czasy?

PANNA MALICZEWSKA: Co ciebie właściwie do mnie przyгнаło?

DAUM: Taka jakaś pustka w życiu... Taki jakiś niesmak... Tak coś brakuje...

PANNA MALICZEWSKA: Za kobietami ciągle latasz?

DAUM: Trochę!

PANNA MALICZEWSKA (*ponuro*): Tak po suterynkach, aby sobie odszukać jakąś Maliczesię?

DAUM (*milczy*).

(*Panna Maliczewska podpira się i patrzy na niego ostro*).

DAUM (*zmieszany*): E! co tam!... to już dawno, minęło, przebrzmiało!... wszystko dobrze.

PANNA MALICZEWSKA (*chmurnie*): Jak komu!

DAUM: Brzydka — przyjąć mnie nie chciała, dwa razy już byłem — lokaj odprawia, mnie, mnie co miałem swój klucz...

PANNA MALICZEWSKA: Minęło! przebrzmiało!.. już dobrze! Czemu stoisz? siadaj! możesz bezpiecznie. To nie twoje graty, co się łamały za każdym dotknięciem.

DAUM: Slicznie mieszkasz. Masz nawet dobre płótna... zegar empirowy...

PANNA MALICZEWSKA: Trochę gratów — landszafty wcale niezłe — tam Buddha — lubisz go?

DAUM: Phi!...

PANNA MALICZEWSKA: Autentyczny. Przywiózł mi go jeden z Paryża czy z Chin. Potem trochę nieładu — niecierpię burżuazyjnego porządku w urzędzeniu, jak u ciebie. To płaskie — po ziemi pełza.

DAUM (*obrażony*): Jestem człowiekiem pracy...

PANNA MALICZEWSKA: Nie! tylko dlatego, żeś głupi i skąpy?

DAUM: Proszę cię...

PANNA MALICZEWSKA (*ostro*): No co? no co? czy mam zawołać lokaja?

DAUM: Ależ nie! nie! na mnie lokaja?... Koniec świata! Stefusia — Stefuleczka! Fuleczka! Kuleczka!...

PANNA MALICZEWSKA (*z lubością*): Djabli cię bio-

ra? — co? A wiesz, wszystko co tu jest, to od moich kochan-ków.

DAUM: Niech tak nie mówi! to jego boli!...

PANNA MALICZEWSKA (*gorzko*): I ją bolało jak te szyby w suterynie tłukła rękami... pamiętuchny?

DAUM (*milczy*).

PANNA MALICZEWSKA: I potem całe jej życie — pamiętuchny?

DAUM: Stefula!

PANNA MALICZEWSKA: No! dosyć! już!... dalej! hop!...

DAUM: Kochają choć trochę?

PANNA MALICZEWSKA: Nie — ale przyjmą przyjacielską przekąskę. Pamiętuchny?

DAUM: Pamiętam! Stoliczek... troszkę tam czegoś...

PANNA MALICZEWSKA: Och, bardzo troszkę — przeważnie sardynki.

DAUM: Tak, tak! i ten stoliczek.

PANNA MALICZEWSKA: Manon i Desgrieux...

DAUM: To! to! i Michasiowa pocziwa; kochana?

PANNA MALICZEWSKA: Jakiś ty teraz słodki, aniel-ski. Jest, jest Michasiowa...

DAUM: Myślałem, że umarła.

PANNA MALICZEWSKA (*grubijańsko*): Dlaczego mia-łaby umrzeć, skoro ty żyjesz, stara mumjo? Jest — tylko dziś nie mógłbyś jej dać w garść mizernej dziesiątki.

DAUM (*naiwnie*): Dlaczego?

PANNA MALICZEWSKA (*z ukłonem dworskim*): Bo by ci w buzię rzuciła.

DAUM: No... no...

PANNA MALICZEWSKA: Ça t'épate? chéri! nie rób min... jakobyś mnie znajdował zanadto brutalną. Ja tylko używam *mocnych* słów! To teraz w modzie, a potem, mnie jest wszystko wolno. Ja miewam spazmy, ja miewam histeryczne ataki... mnie wszystko wolno!... I to stwarza krąg dookoła mnie, krąg strachu. Ludzie się mnie boją! o!

DAUM: Jabym się nie bał! Wolno mi tu będzie częściej przychodzić? co?

PANNA MALICZEWSKA: Właśnie!

DAUM: Jako przyjaciel... nic więcej...

PANNA MALICZEWSKA: Za długo byłeś moim wrogiem, ażebyś mógł być teraz moim przyjacielem.

DAUM: Kiedy byłem ci wrogiem, Stefulu? Ja cię przecież kochałem całe trzy lata...

PANNA MALICZEWSKA: Właśnie wtedy byłeś mi największym wrogiem.

DAUM: Nigdy!

PANNA MALICZEWSKA: A przynajmniej ja byłam twoim wrogiem. Tak! Tak!...

(Dzwoni 2 razy — zjawia się Michasiowa).

MICHASIOWA: Jezus Marja! Pan Daum!

DAUM: Pocziwa Michasiowa poznała mnie. Nie bardzo się zmieniłem — co?

MICHASIOWA: No... w pana wieku to już się niewiele można zmienić.

PANNA MALICZEWSKA: Zawieście Wersal na kołku i — aranżujmy przyjacielską przekąskę...

MICHASIOWA *(cicho do Maliczewskiej)*: Patery nie chcieli pożyczyć... powiedzieli: najprzód łoża — potem patera.

PANNA MALICZEWSKA: Mniejsza! *(pozapalać świece na stoliku — do Dauma)*: Nie kazałam nakrywać w jadalni tylko tu — będzie bardziej swojsko.

DAUM: Jak za dawnych czasów. Widziałem twoją jadalnię, wspaniała. Kontent jestem, że wiem gdzie jadasz.

PANNA MALICZEWSKA: Łatwo się cieszysz — lata całe nie wiedziałeś co jadam!...

DAUM: Jesteś trochę ucinkowa...

PANNA MALICZEWSKA *(histerycznie)*: Bo mi wszystko teraz wolno! wszystko wolno! wszystko! a wy słuchacie musicie.

DAUM: Dobrze! dobrze!... tylko czego się unosisz.

PANNA MALICZEWSKA: Jesteś dziś nerwowa i diabli mnie biorą.

(Michasiowa odstawia parawan, ukazuje się wspaniale nakryty stół zinną przekąską, butelkami, kwiatami, kryształami, srebrem).

MICHASIOWA: Proszę!

PANNA MALICZEWSKA (z gestem wytwornym, zapraszającym): Monsieur!...

DAUM: Cóż za przepych! aż olśniewa!

PANNA MALICZEWSKA: Cóż znowu! zwykła codzienna przyjacielska przekąska (do Michasiowej) możesz odejść! (Michasiowa wzruszając ramionami, odchodzi).

PANNA MALICZEWSKA: Zaczniemy od... sardynek. — Ah Dieu! co się ich nalykałam w dawnych czasach... Ością mi w gardle siadły. Tania to przystawka i wydatna...

DAUM (pijąc koniak): Hi! hi! hi!... ciągle przygryzki, ale żeś nerwowa to ci przebaczam...

PANNA MALICZEWSKA: Jakiś łaskawy!

DAUM: W rączkę pociumam! w rączkę (całuje) i dalej w ramię, w szyjkę, w szyjuchnę...

PANNA MALICZEWSKA: Dosyć!...

DAUM: Mam prawa...

PANNA MALICZEWSKA: Ty? prawa? (gniecie w rękę kieliszek, — uspakaja się). To nic... nic... nerwowe! Ale wiesz co — ażeby przypomnieć sobie dawne dobre czasy, trzeba nam tu jeszcze kogoś trzeciego.

DAUM (śmiejąc się): Może Bogucki?

PANNA MALICZEWSKA: Może!

DAUM: To będzie świetne.

PANNA MALICZEWSKA: Ale to ma być niespodzianka. Ty nie możesz widzieć tej osoby aż siądzie tu naprzeciw ciebie. Dlatego (słodko) niech on pozwoli tak po dawnemu — czemu nie zdjął tużurka jak lubił? (zdejmuje mu z piieszczotami tużurek). A teraz ja mu oczka zawiążę, ażeby nie widział (zawiązuje mu serwetą oczy, pozwalając się całować w rękę, zaszuwa parawan od lewej). Niech tu siedzi a zaraz będzie śliczna cacana niespodzianka.

DAUM (słodko): Stefuła!...

(Panna Maliczewska biegnie do sypialni i wyprowadza Daumową olśnioną blaskiem elektryczności i świec).

SCENA 12.

Daum, Daumowa, Panna Maliczewska.

PANNA MALICZEWSKA (ciągnąc Daumową w stronę

parawanu): Przepraszam bardzo, że kazałam tak długo czekać, ale nie mogłam się tak łatwo...

DAUMOWA: O, to nic...

PANNA MALICZEWSKA (*przerywa*): ...pozbyć tego gościa! (*sadza Daumową prawie siłą naprzeciw Dauma i odsuwa parawan*). Może pani zechce usiąść (*zrywa z oczów Dauma serwetę*): oto wspólna dla państwa niespodzianka!

DAUMOWA (*ostąpiła*): To ty? tutaj? i tak?

PANNA MALICZEWSKA: Troszkę sans gêne...

DAUM (*wściekły*): Do stu diabłów! miła sytuacja.

DAUMOWA: Ależ dlaczego... po co...

PANNA MALICZEWSKA: To on już sam pani wytłumaczy. Uprzedzam panią tylko o tem, że im więcej mężczyzna krzyczy, tem więcej winien! (*wychodzi do sypialni*).

S C E N A 13.

Daum, Daumowa.

DAUMOWA (*siedzi przybita*): Boże mój, Boże! co o tem myśleć!

DAUM (*ubiera się w tużurek, szorstko*): Chodź stąd!...

DAUMOWA: Powiedz mi przynajmniej, co tu robiłeś bez tużurka, za tym stołem?...

DAUM (*krzycząc*): A ty co tutaj robisz? za tym stołem w tym domu?

DAUMOWA: Mnie gwałtem posadzili.

DAUM: I mnie gwałtem posadzili. A zresztą, co to za badania? Nie jestem ci obowiązany żadnych tłumaczeń...

DAUMOWA: Przeciwnie, wierzyłam ci 30 lat tak nieograniczenie, że teraz, kiedy zachodzi jakaś dwuznaczna sytuacja, winienesz mi...

DAUM (*krzycząc*): Nic ci nie jestem winien!

DAUMOWA: Jestem twoją żoną.

DAUM: Tembardziej—stanowisko twoje jako zamężnej kobiety, nie pozwala zadawać nieprzyzwoitych pytań. Jeżeli ci tak tu przyjemnie, to zjedźże sobie przyjacielską przekąskę z panią tego domu! Ja uciekam! Mam dosyć tej brudnej atmosfery!... duszę się w niej! Idę do domu!

(*Wychodzi gwałtownie przez jadalnię, trzaskając drzwiami*).

S C E N A 14.

Daumowa, Maliczewska, później Michasiowa.

(Daumowa chwilę stoi na miejscu, ociera łzy, wreszcie idzie ku sypialni).

DAUMOWA: Proszę pani tu na chwilę.

PANNA MALICZEWSKA: Pani tu jeszcze?

DAUMOWA: Dlaczego pani zrobiła to wszystko?

PANNA MALICZEWSKA: Chciałam odplacić się pani mężowi za wszystkie krzywdy, jakie mi zrobił.

DAUMOWA: Jakie krzywdy?

PANNA MALICZEWSKA: Och, takie proste... gdy byłam głodna, podsunął mi żarcie, a gdy byłam bosa — kupił mi obuwie...

DAUMOWA: To są dobrodziejstwa...

PANNA MALICZEWSKA: Ale on nie dawał, on kupował w ten sposób...

DAUMOWA: Co?

PANNA MALICZEWSKA *(z krzykiem rozpaczonym)*: — Mnie!

(Chwila milczenia).

DAUMOWA: Rozumiem!... *(po chwili)*. Czemu się mu nie oparłaś?

PANNA MALICZEWSKA *(cicho)*: Miałam siedemnaście lat... byłam statystką, często marłam głodem — nie miałam stałej pensji... nic...

DAUMOWA: Wyrządził ci krzywdę skoro tak chcesz. Choć widzisz... ja tego nie rozumiem... Zdaje mi się, że ja umiałabym się oprzeć...

PANNA MALICZEWSKA: Bo pani nie wiesz co to jest głód!

DAUMOWA: Może! *(po chwili)* Ale dlaczego pani zemściłaś się i na mnie, odbierając mi wszystkie złudzenia? Dlaczego teraz z mego cichego spokojnego domu uczyniłaś smutny grób?

PANNA MALICZEWSKA: Dlatego, że nie mogłam

znieść, aby on miał taki cichy, spokojny dom i aby taka jak pani kobieta, czciła go, kochała i szanowała.

DAUMOWA: Ale tem samem cierpię i ja. A przecież ja pani nie wyrządziłam żadnej krzywdy.

PANNA MALICZEWSKA: Na to względu mieć nie mogłam. On mi, jak dziki zwierz, zniszczył całe złudzenia mego życia. Ja nie mam młodości, ja przepadłam! ja zginęłam przez niego!.. przez niego!.. w samej młodości! jakie to straszne!

DAUMOWA: Stracić złudzenia na starość, to jeszcze straszniejsze...

PANNA MALICZEWSKA: Krócej pani cierpieć będziesz...

DAUMOWA *(ze łzami)*: Ale za to straszniej...

PANNA MALICZEWSKA: Może *(po chwili)*. Przepraszam panią.

DAUMOWA: To już mi nie pomoże! Żegnam panią! *(Wychodzi ze spuszczoną głową. Panna Maliczewska rzuca się na sofę i leży chwilę cicho, patrząc w sufit.)*

MICHASIOWA *(wsuwa się)*: Niema nikogo? *(padchodzi do Maliczewskiej)*. Co też Stefka za machinacje wyprawia?

PANNA MALICZEWSKA *(z ciężkością podnosi głowę)*: Daj mi papierosa!

MICHASIOWA: Stefka ma dzisiaj czytana próbę o szóstej. Wie Stefka?

PANNA MALICZEWSKA *(gwałtownie)*: Wiem i nie pójdę, nie pójdę! Robię, co mi dogadza, co mi się podoba! Niech się zapadną ze swoją próbą! Daj cygaretkę!

MICHASIOWA *(podaje papierosa)*: Dobrze... ale czego zaraz wrzeszczyć. To ordynarne... *(po chwili)*. Czemu Stefka taka smutna i taka blada?

PANNA MALICZEWSKA: Bo mi to dogadza być taką! *(Odwraca się do ściany)*.

MICHASIOWA: A tam na schodach stoi znów ten chórzysta, którego wypędzili.

PANNA MALICZEWSKA: Niech się wynosi.

MICHASIOWA: Piętnaście razy był... list napisał.

PANNA MALICZEWSKA: Do kogo?

MICHASIOWA: Do Stefki, z prośbą o protekcję.

PANNA MALICZEWSKA: Nie! wiecie państwo! wściec się można. Wyrzucić i jego i ten list!

MICHASIOWA: Dobrze! dobrze! (*kładzie cichaczem list na biurku*). Idę już... A może posłać kogo do teatru, że Stefka na próbę nie przyjdzie?

PANNA MALICZEWSKA: Nie potrza! Mnie wszystko wolno!!!

MICHAŁ KARSKI.

Przed drugą wyprawą.

Oto wczoraj z dalekiej powróciłem drogi.
Przebyłem niezbadane morskich wód rozłogi
I widziałem w oddali spowite w lazury
Nieznanej tajemniczej wysepki kontury;
Nie dopłynąłem do niej, już mi sił nie stało
Do dalszych walk z wichrami i z falą zuchwałą,—
Więc tyłkom się w nią wpatrzył źrenicą wilgotną,
I cicho łódź mą w drogę puściłem powrotną.

Otom dobił do brzegu. Łódź moja zniszczona,
Przeżarła cienkie ściany morska woda słona;
Wicher — biały jej żagiel potargał na strzępy,
A podwodne w nią skały tłukły niby sępy,
Z których każdy zdradzieckie zadawał jej razy;
Więc pierś jej osłabiły niewidzialne skazy
I choć doszła do brzegu moja łódź bezwolna,
Lecz do ponownej drogi dziś już jest niezdolna.

Pamiętam cudną chwilę, gdym ciche wybrzeże
Opuszczał za nieznane chcąc płynąć rubieże,
Hen, w dal, zasnutą mgłami grążę się oczyma,
Biały żagiel jakgdyby do lotu się wzdyma,
Szeleszczą na dnie łodzi rozpostarte sieci,
W ich okach ranne słońce blaski tęczy nieci...
Płynę, marząc o przyszłym plonie mych mozołów,
Płynę na pełne morze, na połów, na połów!

Niedobry był mój połów.— Rybacy się śmiali
Z tych kilku moich drobnych pereł i koralu,

Mówili: czemu sieć twą tak silnie stargały
Pod powierzchnią wód morskich skryte zdradnie skały?
Czemuś tęsknie w oddale wzrok stał nieruchomy,—
Miał baczyc, że o łódź twą skalne biją złomy?
Czemuś nie brał zdobyczy, gdy sieć twa jak ołów
Ociężała, zwiastując ci obfity połów?..

Ja nic im nie odrzekłem. Bo cóżbym powiedział, —
Gdy między mną i nimi tak wielki był przedział?
Któryżby z nich zrozumiał jakie w nocną ciszę
Piosenki nuci fala, gdy łódkę kołysze?
Jak rozkosznie jest płynąć w marzennym bezwładzie,
Gdy na przymknięte oczy słońce blask swój kładzie?
Cóż, że za łodzią zdobycz może wloką sieci, —
Gdy łódź płynie w bezkresy, a duch w niebo leci?

W podróży mej przetrwałem niebezpieczną burzę,
Łódź, oddana na pastwę falom i wichurze,
Skłębionym wirem gnana, szła w nieznaną stronę;
A gdy nazajutrz morze ciche, ukojone
Znowu łódź mą w łagodne objęło uściski, —
Na widnokregu słońca wschodzącego błyski
Zamglony ład z błękitnej wynurzyły fali:
To brzeg nieznaney wyspy majaczył w oddali...

Nie dopłynąłem do niej. Po przetrwanej burzy
Już we mnie sił nie było do dalszej podróży;
Więcem wiatrom powrotnym powierzył łódź moją, —
Myśląc, iż dłonie czasu tęsknotę ukoją
Do niknącego w dali mglistego ostrowu.
Chciałem tedy coś przywieźć z mojego połowu,
Lecz się zdradna toń morza przeciw mnie sprzysięgła:
W rozdartej sieci żadna zdobycz nie zastrzegła.

Otom skończył mą pierwszą wyprawę rybaczą,
Wzdłuż brzegu inne łodzie pstrą smugą się znaczą;
Tam każdy rybak, połów skończywszy obfity,
Radośnie skarb ogląda, z morza wydobyty.
Oni swój trud spełnili rozważniej odemnie
Ich morze nie wabiło w swoją dal tajemnie

Oni bacznie śledzili ruch błękitnej fali,
A przed burzą do brzegu trwożnie uciekali...

Patrzę na nich w zadumie. Może niezadługo
Popłynę razem z nimi na wyprawę drugą,
I wtedy tak jak oni będę śledził bacznie
Sieć moją, gdy zdobyczą napelniać się zacznie;
Potem pod jej ciężarem pochyłony nisko,
Zaniosę ją na gwarne miejskie targowisko.
A potem... potem znowu w morskich głębin szkliwie
Będę zanurzał sieć mą odważnie i chciwie.

A jednak... może właśnie stanie się inaczej?
Może dalej popłynę w mej łodzi rybaczej;
Popłynę, hen, w nieznane oddale jak wtedy,
Na tęsknoty i burze, na radość i biedy...
Aż nareszcie, po długim cudnych dni szeregu
Do mego spokojnego znów przybiję brzegu
I powitawszy dziatwę na skalistej górze,
Powiem jej — jakie cudne odbyłem podróże...

Tak! Po raz wtóry w drogę daleką popłynę,
Aby zobaczyć ową wyśnioną krainę;
Popłynę z nową mocą i pragnieniem nowem!
Cóż — że ludzie rozśmieją się nad mym połowem?
Gdy mi odrazu lice stroskane rozjaśni
Jedno słowo tajemnej morskich głębin baśni;
A droższym od wszelakich będzie mi zdobyczy
Jeden kwiat, przywieziony z wyspy tajemniczej...

Idealy społeczne a literatura rosyjska doby ostatniej.

I.

Lux ex Oriente lucet... Pojawił się świeżo ten pogląd u Francuzów, którzy rzadko potrafią wyzwalać swe zapatrywania z pod wpływów takich lub innych chwilowych entuzjasmów politycznych. Kiedy w okresie przesilenia po wojnie francusko-pruskiej, trzecia Republika znalazła się bez przyjaciół, bez zasobów finansowych, z fatalnem wspomnieniem doznanej klęski i rozpaczliwie pielęgnowanem marzeniem o możliwości odwetu, zabłysnął jej nagle promień nadziei ze Wschodu. I oto zaczęło się uwielbienie dla rosyjskiej duszy i dla rosyjskiej koszuli, dla rosyjskiej kobiety i dla rosyjskiej literatury. Mistycy à rebours widzieli w głębiach Rosji, której wcale nie znali, to, co w tym samym mniej więcej czasie odkrywali na polanach Pendżabu: objawienie dla ludzkości, nowy dreszcz nieznanych dotąd sensacji duchowych i wynaturzeń cielesnych. Genialne w swej umiejętności naśladownictwa i fabrycznego wytwarzania Niemcy chwyciły się oburącz rzeczy tak bardzo moderne: a nużby ktoś je posądził, że są niedość wysubtelnione, niedość prześlągnięte starą cywilizacją, by móc ocenić i wchłonąć tę nową, samoistną kulturę pogranicza Europy i Azji! Dostojewskiego, Tołstoja, później Gorkija i Andrejewa tłomaczono w lot i sprzedawano aż na wózkach antykwarskich niemniej jak w pierwszorzędnym księgarniach. Im temat bardziej egzotyczny, im typy mniej podobne do ludzi współczesnych, a więcej zbliżone do tych, co kiedyś byli ludźmi, im szaleńsze orgje, morderstwa i zawrotniejsze salto mortale myślowe, tem książka bardziej interesująca dla literackiego snoba, dla

którego świat wogóle dzieli się na rzeczy interesujące i nieinteresujące.

Nasiąkaliśmy i nasiąkamy tą literaturą nie tylko dlatego, że nie brak i u nas snobów, ale i z przyczyn daleko naturalniejszych, bliżej leżących. Wysoki literackie Gorkich, Ropszynów i Arcybaszewów tłumaczone bywają skwapliwie dla tej części ludności polskiej, która po rosyjsku czytać nie może. Pewna, spora oczywiście sfera młodzieży, która zetknęła się ze wschodnimi ośrodkami nauczania, pozostaje pod silnym wpływem orientalnych uroków. Istnieją krytycy*), którzy z powagą godną lepszej sprawy, wyprowadzają nowe przełomowe prądy piśmiennictwa naszego ze źródeł i naleciałości wschodnich, zapewne w zamiarze szczególnego napiętnowania utworów dla nich niemiłych i niezrozumiałych. Ale i poważne, wytrawne pióra w rodzaju Władysława Jabłonowskiego**), Zdzisława Dębickiego i innych, uderzają co raz w dzwon trwogi, ostrzegając przed nowem niebezpieczeństwem dla życia umysłowego i dla moralności Polski. Przeciwny obóz widzi w tych obawach zaskorupienie narodowe, ciasnotę szlacheckiego veto wobec każdej nowej reformy, każdego ostrzejszego powiewu; opinjom krytyków swojskich przeciwstawia głośne nazwiska Zachodu. Gdzie prawda? pyta przeciętny czytelnik, oszołomiony tym sporem, zrażony zjadliwą a śmieszną zapamiętałością nadto gorliwych zoilów, obniżających do poziomu błota polskie utwory, co w jego młodzieńczej duszy brzmią nutą najbardziej swojską, odważną, bohaterską, a jednocześnie odurzony na równi z każdym europejczykiem zapachem egzotycznej zgnilizny, wydobywającej się z tamtej literatury oryginalnej i odrębnej.

Nie można powiedzieć: nie czytaj, to zła książka! chyba że pragniemy otrzymać te rezultaty, jakie stropiły niejedną mamę, zamykającą na klucz przed dorastającą córką szafę biblioteczną, dlatego że znajdowały się w niej przygody

*) Teodor Jeske-Choiński: „Seksualizm w powieści polskiej”, — „Kurjer Warszawski”. Czerwiec, 1913.

**) „Dookoła Sfinksa”. Warszawa, 1907. — „Dwie kultury”. Warszawa, 1913.

Claudiny obok Nędzników Wiktora Hugo i powieści Korzeniowskiego. Przeciwnie, mówmy jaknajwięcej o tem, co jest w tem piśmiennictwie, czy to patrząc ze stanowiska czystej sztuki, czy też z punktu widzenia ideałów wszechludzkich lub ciśnień społecznych. Dlatego też zasługa Jabłonowskiego, który pierwszy zanalizował wobec czytelnika polskiego twórczość najpopularniejszych beletrystów rosyjskich, wydaje mi się godniejszą daleko większego i mniej akademickiego uczucia niż to, jakie ją spotkało. A przede wszystkim pozwólmy przodownikom nowej myśli rosyjskiej mówić samym za siebie.

Oto najnowsza, i jak nas zapewniają, pierwszorzędną gwiazda w konstelacji literatury rosyjskiej, błyszczącej w tej chwili na widnokręgu... Andrzej Bielyj *) wprowadza nas w świat szczególnie niezgłębiany, a naprawdę otchłannie ciekawy, w świat mglistej mistyki religijnej Wschodu. Jeszcze jedna sekta, wyrosła z głębin pierwotnego ducha prostaczków i tem przeurocza dla Rosjanina, który już zakosztował kultury Zachodu z jej finezjami i nudą wymagań naukowych. „Widziało mu się, że z głębin ojczystego jego ludu tryska przeszłość, odwieczna, ojczysta, a życiowo dotąd nie przeżyta — Grecja nowoczesna. Dojrzał światło nowe, jaśniejące w życiu przez wypełnianie obrzędów cerkwi grecko-rosyjskiej. W prawosławiu, a właściwie w prastarych pojęciach chłopka prawosławnego (to znaczy, według jego poglądu, chłopka nastrojonego pogańsko) dojrzał nowy cel świetlany dla kroczącego w świat Greka... I dlatego przylgnął do ziemi ludu, i przylgnął do modłów ludu za ziemię; siebie samego zaś uważał za przyszłość ludu; w gnój, w chaos, w potworność życia ludowego cisnął zew tajemny — i zew ten, niby wilczy, poszedł w gąszcz leśny ludu, a z lasu wyciem coś nań odpowiedziało”.

Trudno trochę zrozumieć. I trudno pojąć uniesienie owego nowożytnego Greka dla wierzeń, które poza grubą mistyką polegają na rozpuszcie osłaniającej mordy, i w prze-

*) „Serebriannyj golub”. 1911. Pisał o nim w krakowskiej „Krytyce” Eugenjusz Zahorski, najlepszy bodaj u nas znawca nowej beletrystyki rosyjskiej.

konaniu, że z baby ospowatej i pięknego szlachcica narodzi się powtórnie Mesjasz. Ale my, Europejczycy, nie usiłujemy zrozumieć. Ostrzega nas o tem sam autor. „Wielką mnogość słów, dźwięków, znaków wyrzucił Zachód na podziw świata. A znaki te, niby wilkołaki, tchem swym wiodą ludzi za sobą — i dokądżeż? Rosyjskie zaś milczące słowo, wychodząc z ciebie, pozostaje przy tobie i słowo to jest modlitwą. Niby chluśnięta w górę czarka wina złocistego, gorącego w słońcu jako kamyczki, jako bryzgi różnobarwne, skoro krople te padają ci pod nogi, pozostawią twe pragnienie niezaspokojonem, choć wywołały zachwyty ludzi postronnych z powodu deszczu kropeł złotych, — takie są słowa, jakich uczy nas Zachód; chlustają tam słowami nazewnątrz, w książki, w rozmaite mądrości i nauki; stąd też i słowa są tam wypowiedziane i ład życia wypowiedziany; oto czem jest Zachód. W Rosji inaczej: ludzie polni, leśni nie stroją się w słowa i nie radują oczu ładem życia; słowa ich są brzydkie, ład życia pijacki, kłótniwy; brud, głód, ciasnota ciemności. Lecz krew i wino ducha stoi na stole przed każdym człekiem i każdy wypije sobie to wino słów niewypowiedzianych i uczuć nie do wypowiedzenia... Wiele jest ksiąg na Zachodzie, a w Rosji wiele jest słów niewypowiedzianych. Rosja jest tem, o co książka rozbija się i w proch rozpada, przy czem życie samo się spala; w dniu, w którym Zachód przeszczepi się na Rosję, ogarnie go pożar wszechświatowy i spali się wszystko co spalić się może, bowiem tylko z popiołów śmierci wyfrunie dusza ruska — Żar-Płak”.

Umyślnie wybraliśmy te cytaty przydługie z autora, który u nas nie zdobył jeszcze popularności, lecz w ojczyźnie swej uważany jest za przodownika młodej Rosji literackiej. Gdy dostanie się on do rąk zachodniej czytającej publiczności, ocenią urok jego pierwotnej, półdzikiej wyobraźni drażniąco skojarzonej z pewną deprawacją subtelnie mistyczną, podniosą swoistość stylu i oryginalność pomysłu; zaimponuje zuchwały cynizm ośmieszający zwyrodniałą Rosję i Europę z całą jej nauką, sztuką i prawieczną kulturą. „Wszyscy musimy w przyszłości upaść przed bogdychanem” — będzie powtarzał snob berliński lub paryski — i my za

nim. Poprzednie pokolenie wzięło z Dostojewskiego nihilizm duchowy, obosieczne pojmowanie zła i dobra, przestępstwa i cnoty, zbrodni i kary, bolesną aż do trzewi sięgającą analizę człowieka, wrażliwość, może nawet nadczułość na bólczki duchowe bliźnich; ale na tysiąc czytelników może ani jeden nie zastanowił się głębiej nad narodowo-religijną głębią odczuwać Dostojewskiego, nad filozofją wyzwolonego, wszechobejmującego prawosławia, jaką przemyślał on i wyłożył. Rozmowy mnichów, długie, nudne, bezbarwne w zestawieniu z palącą fabułą książki, a przytem tak obce dla nie-prawosławnego nie-rosjanina, niechybnie przerzucane są pośpiesznie, choć one to nadają ton całości i ich myśli wchłaniamy nieświadomie, przejmując się typami i przeżyciami, zdawałoby się, odległymi od życia prostaczych posłanników Wschodu. W Tolstoju tak samo widzieliśmy odszczępieńca wyklętego przez cerkiew, a nie spostrzegaliśmy, że właściwie był on jej puryfikatorem, że pragnąc żyć po — Bożemu, myślał o życiu w duchu i w imię zasad tejże cerkwi. „Młodzi”, w rodzaju Andrzeja Bielyja — są w tej samej mierze przesiąknięci ideologją prawosławia i tem, co on sam nazywa krwią mongolską w Rosjanach. Dla znudzonej przerafinowanej publiczności europejskiej, po dobrym obiedzie i paru kieliszkach wina, zda się i prawosławie dla odmiany po buddyzmie, spirytyzmie, satanizmie i innych wielorakich izmach. Nas nie stać przeważnie na dobre obiady, wina nie mamy wcale, za to przerafinowanych ludzi aż nadto.

Powie ktoś, że wybraliśmy rozmyślnie pisarza o zakroju religijno mistycznym i że istnieje wszak znacznie więcej autorów zupełnie świeckich, z rozmachem społeczno-psychologicznym, z ideałami i ideami przystępniejszymi dla zjadaczy chleba, których artyzm prowadzi nas na wyżyny. Oto niedawne bożyszcze, doskonale znane nam bądź z oryginałów, bądź z polskich i obcych przekładów — Gorkij — dał galerję postaci jaskrawych w swym brudzie fizycznym i moralnym, przeprowadzając nie nową myśl, że i w tych, co przestali być ludźmi, istnieje dusza ludzka, lepsza nieraz niż w zacnych obywatelach kraju. Cdyby nie świat włóczęgów, szumowin społecznych i wyrzutków moralnych, który dla

pani hrabiny i dla pana mecenasa ma taki sam urok, jaki ich postacie posiadają dla czytających kucharek, napewno nie byłoby ani setnej części sławy Gorkija. Bo skoro po sdegenerowanych kupcach, „bosiakach” i żebraczkach postanowił dać obraz Rosji uspołecznionej, socjalistycznej i robotniczej, jego „Matka” została częściowo skonfiskowana przez cenzurę i tej jeno okoliczności zawdzięcza szczęście, że chciano ją czytać. Słabizna literacka pozostała ta sama, a sensacji zabrakło i wyszła rzecz bezmiernie nudna i kliwa.

Są jeszcze inni, którzy dotąd nie przejawili upadku talentu, jak się to mawia o Gorkim od czasu, kiedy przebrzmiał jego huczek, jest Andrejew, który zapowiadał się jako wielka siła literacka, jest wstawiony przez „Sanina” pornografię Arcybaszew, jest mistyk Sołłogub, którego zestawiają z naszym Micińskim, są jeszcze młodzi (a już utwo-ry ich przekładają na polski, jak Ropszyna. Wszyscy oni byli widzami, a może po części, choć w nierównej mierze aktorami wielkiej tragedji roku 1905 i lat następnych. Wszyscy pisali o tych czasach i o ludziach tych czasów, gdy my mamy dotąd jednego Struga poza paru przeważnie nieudanemi próbami w tym kierunku. Jednak ruch społeczno-polityczny owych lat nie wydał wybitnych jednostek ani w dziedzinie życia, ani w zakresie literatury. Ludzie, jeżeli uczciwi i szczerzy, byli ciaśni i idee literackie, nie mówiąc już o wykonaniu, pozostały wąziutkie. Wzburzyło się wielkie Imperjum od krańca do krańca, zagadało różną mową, zajęczało z rozmaitego tonu; pisarz wielkorosyjski pozostał wielkorosjaninem, który nie rozumie żadnych języków poza własnym. Profesor Brückner w pięknym, choć króciutkiem studjum, do którego jeszcze powrócimy, podkreśla tę cechę w pisarzach dawniejszej daty. Widzimy jednak, że nic się pod tym względem nie zmieniło. Autorzy malują farbami swojskimi czy zachodnio europejskimi, lecz przedmiotem sztuki pozostają ludzie wnętrza Rosji. Zwracamy na to uwagę, nie dlatego, byśmy do nich czuli o to jakąkolwiek urazę, lecz aby wykazać na wstępie ograniczoność pola wzroku.

(Dok. n.)

Filozofja w dwudziestym wieku w porównaniu z filozofją doby minionej.

II.

Ale oto ku początkowi XIX wieku budzi się duch historyczny, a jednocześnie krytyka Kanta, znosząc pretensje dawnej metafizyki ogranicza także i roszczenia naturalizmu. Słaby związek nauk humanistycznych, znajduje wyraz swój w formacji idealistycznej przybierającej u Fichtego, a zwłaszcza u Hegla charakter szeroko społeczny. Fichte kreśli plan państwa socjalistycznego, a filozofja Hegla, nauczyła widzieć w wytworach cywilizacji objawy ducha zbiorowego; spoglądać na dzieje, jako na dramat, którego osobami są narody.

Lecz ten chwilowy wzlot idealizmu nie spoczywał na trwałej podstawie rozwiniętych nauk humanistycznych. Humanistyka zaledwie zaczynała wkraczać na tory naukowe, nie wznosząc się w przeważnej części swych gałęzi ponad anegdotyczne literackie traktowanie przedmiotu. Natomiast wiedza przyrodnicza nietylko postępuje olbrzymimi krokami naprzód, lecz znajduje także energiczne poparcie ze strony rozwijającego się industrializmu, którego potrzebom służy tak skutecznie.

Jednocześnie cele wytknięte przez prąd humanistyczny XVIII wieku zostają częściowo przynajmniej osiągnięte w głównych ogniskach cywilizacji: we Francji i Anglii (około roku 1830).

Wszystko to składa się na bezwzględną przewagę przyrodzności w umysłowości środkowych dziesięcioleci XIX wieku. Panowanie jego zaczyna się por. 1830 i trwa do ostatniego dziesięciolecia wieku, kiedy zaczyna się schyłek tej władzy. Najbardziej charakterystycznymi objawami tych rzą-

dów umysłowych ujawniają się w filozofji: najprzód pozytywizm Comte'a roztapiający filozofję w systemacie nauk specjalnych, a przytem wyłącznie niemal przyrodniczych: nawet socjologja, zajmująca szczyt gmachu złożonego z nauk specjalnych pojęta tu jest, jako fizyka społeczeństwa. Dalej materializm, rozwijający się w Niemczech od r. 1850; wreszcie ewolucjonizm angielski, wyciskający tak wybitne piętno na całej umysłowości współczesnej. Idee Lyella i Darwina odkrycia Joule'a nietylko przeobrażają pomysły materializmu naukowego w systemata pozytywizmu ewolucyjnego Spencera i jego następców, lecz nadają nową fizjonomję całemu typowi umysłowości.

Jeśli bowiem umysłowość ta od czasów Laplace'a i jego współpracowników kształtowała się pod przeważnym wpływem pomysłów fizycznych i mechanicznych to teraz energetyzm i biologizm stają się ideami kierowniczymi, które przeszczepiać i zastosować usiłują także i do zakresu humanistyki.

Metoda przyrodnicza staje się obecnie w opinji myślicieli podobnież wyłączną i uniwersalną drogą do prawdziwej wiedzy w jakiejkolwiek bądź jej gałęzi, jaką dla Kartezjusza była matematyka. Powstają próby jej zastosowania do historii nauk społecznych i literatury, a gałęzie wiedzy, które jej nie przyjęły uważane są w myśl Comte'a za niedojrzałe, „nienaukowe”.

Cześć dla wiedzy, uznanie bezwzględnej doniosłości jej zdobyczy i jej metody, niezachwiana jej powaga — taka jest cecha znamienna umysłowości minionej doby. Nawet, ci którzy odmienne wyznają poglądy, starają się je uzasadnić bądź to przy pomocy dowolnie interpretowanych lub niekrytycznie wybieranych „faktów“ naukowych, bądź też — jeśli to umysły poważne i szczerze — dbając w konstrukcjach swych o to, by nie stanąć w sprzeczności z zasadami i faktami wiedzy ściślej.

Lecz oto już w siódmym lat dziesiątku zeszłego stulecia kiełkować zaczynają myśli, którym sądzono było zachwiać i zburzyć ów bezwzględny dogmatyzm idei przyrodniczych, owo powszechne panowanie metody przyrodnoznavstwa, utrwalonej i teoretycznie uzasadnionej w swoim czasie

przez prace logiczne. J. St. Milla Baine'a Jevonsa (logika indukcyjna).

Były to odnowione myśli Kanta zastosowane do krytycznej oceny współczesnego przyrodoznawstwa. Przeprowadzone w sposób wszechstronny przez Fr. Alb. Langego, zużytkowane świetnie do interpretacji własnych odkryć psychologicznych przez Helmholtza zachwiały one dogmatyzm przyrodoznawstwa.

Wywody badań psychologicznych stwierdzających w głównych zarysach wywody krytyki Kanta, wykazywały całą względność tak zwanych wyników wiedzy. Pogląd przyrodniczy na świat znajdował negację swoją w konsekwentnym przeprowadzeniu własnej metody zastosowanej do fizjologii i psychologii zmysłów.

Świat atomów, sił i eteru, świat energii i materji, razem z przestrzenią i czasem, narówni ze światem rzeczy widzialnych i namacalnych rozwiewał się w złudzenie konieczne, w wizję wytworzoną przez naszą zmysłowość i umysłowość, stawał się „wyobrażaniem“ naszem.

Sceptycyzm w stosunku do zasad wiedzy i ich krytyka mniej lub więcej umiejętna, zaczynają zastępować stopniowo dawną cześć bezwzględna. Krytyka podstaw wiedzy z najrozmaitszych stanowisk podjęta, a prowadzona bądź przez samych specjalistów, bądź przez filozofów z zawodu, stanowi najbardziej charakterystyczną cechę współczesnego ruchu filozoficznego ostatniego dziesięciolecia znajdując swój wyraz w doktrynie *instrumentalizmu*, owej biologiczno - energetycznej teorii poznania reprezentowanej przez Macha, Krichhoffa, Aсенariususa, Poincare'go i innych.

Razem z tem zachwianiem panowania wiedzy ścisłej myśl filozoficzna coraz częściej zwraca się w stronę nauk humanistycznych, szukając tu pobudek, natchnień i wskazówek. Humanistyka tymczasem urosła, weszła w wiek dojrzały, utrwaliła swoje metody i cele. Świadoma zadań i dróg zarzuciła próby naśladownictwa; bezpłodne wysiłki przeszczepiania obcej sobie metody. Stała się systematem nie tak jeszcze jednolitym, jak przyrodoznawstwo, mającym jednak właściwy sobie typ myślenia, swoje idee przewodnie. Dzieje te stają się coraz bardziej wpływowemi

w filozofji. *Filozofja współczesna z pod wpływów i haseł przyrodniczych przechyla się ku humanityzmowi*. Pociąga to za sobą jej zwrot od materializmu, pozytywizmu i realizmu ku idealizmowi, od intelektualizmu ku wolentaryzmowi.

Jednocześnie uczucie tłumione w poprzedniej dobie przez wyłączność intelektualizmu zaczyna upominać się o prawa swoje. Myśl, że filozofja jest wytworem *całego człowieka* z jego uczuciową stroną, z jego popędami, dążeniami i zamiarami — występuje coraz śmieiej, aby ostateczny i jaskrawy wyraz znaleźć w *humanizmie angielskim* p. Schillera, występującym jako wyzwoliciel umysłu z kajdan determinizmu przyrodniczego i kwietyzmu neohegelińskiego.

Tak więc filozofja, która zaczęła swój zawód w dobie nowożytnej idąc drogą wytkniętą przez *matematykę*, która przez większą część XIX wieku weszła była pod znak *przyjrodoznawstwa*, teraz zwraca się ku wiedzy *humanistycznej* czerpiąc obficie ze zdobyczy chwilowego wznoszenia idealizmu, a syntetyzując w *pragmatyzmie* zdobycze pozytywistyczne z hegelijskimi.

Myśl współczesna nie tylko określiła granicę metodzie przyrodniczej, uważanej dawniej za powszechną i jedyną. Same podstawy logiki formalnej zostały przez nią podane w wątpliwość i poddane surowej krytyce przez myślicieli z obozu pragmatycznego, jak James i Schiller lub niezależnych, jak Alfr. Sidgwick'a i Bergsona przeciwstawia *intuicyjonizm* logice dyskursywnej i matematycznemu pojmowaniu rzeczywistości.

Zmiana także nastąpiła i w stosunku do religji. Okres ubiegły zaczął się od krytyki ostatniej twierdzy tradycji religijnej: jej podstaw historycznych. Feuerbach i Strauss, Bruno Bauer zachwiali ostatecznie wszelkie zaufanie do historycznych źródeł, na których spoczywa chrześcijaństwo, wykazując zarazem, że religja płynie z typu umysłowości zgoła przeciwnego temu, który stwarza wiedzę; a cały okres ten nie wydaje nic oryginalnego w zakresie filozofji religji. W dobie najnowszej zagadnienia filozofji religji pociągają ku sobie poważne umysły i pobudzają ku pracom twórczym takich myślicieli, jak Gourd, James, Eucken.

Co wszakże stanowi najwybitniejsze znamię nowej do-

by, to stanowisko jakie zajmuje w pojmowaniu społeczeństwa. Dla okresu świeżo przebitego z jego naturalistycznym podkładem, z jego metodą analityczną, społeczeństwo rozbite na atomy, nie miało innego znaczenia, jak tylko skupienia osobników, związanych całym szeregiem stosunków i warunków. W jego planach konstrukcyjnych osobnik był zawsze celem, ogół środkiem. Sam nawet socjalizm drugiej połowy stulecia wiązał się z metafizyką przyrodniczą i indywidualistycznym pojmowaniem społeczeństwa, opierał się na indywidualistycznej ekonomji. Lecz w miarę uświadomienia roli i znaczenia nauk humanistycznych dla ogólnego poglądu na świat, coraz bardziej toruje sobie drogę myśl, że naród jest organizmem psychofizycznym, mającym swoją *duszę zbiorową*, myśl pokrewna cokolwiek z ideami Hegla, lecz bardziej realistycznie pojęta, a ściślej naukowo uzasadniona.

Myśl ta niezawodnie stanie się podstawą nowego i głębszego pojmowania życia społecznego.

Wiek XIX był wiekiem walki i kompromisów między indywidualizmem, a socjalizmem. Znamionami tej walki — spotęgowanie indywidualizmu ku jego końcowi stulecia; jego wybryki chorobliwe u takiego Nitschego i jego adeptów. Sam socjalizm XIX w. jest tylko objawem kompromisowym mechanicznie spajającym idee solidarności społecznej z przeżytkami indywidualistycznego okresu, a przez to pozbawionym wytrzymałości wewnętrznej.

Doba w którą wkraczamy, będzie dobą socjalizacji w szerokim znaczeniu, której praojcem był Plato; dobą socjalizacji spoczywającej na podstawach filozofji, naprawdę społeczńskiej, nie wrogiej sobie indywidualistyczno-naturalistycznej, jak w drugiej połowie XIX w., a sam rozkład tego przekazanego przez ubiegłą dobę socjalizmu, jest zwiastunem głębiej i szerzej zakreślonej idei uspołecznienia owego *hypersocjalizmu*, ku któremu zmierzamy, a który za cel sobie stawia nietylko zrzeszenie wysiłków zewnętrznych, lecz nade wszystko jedność i harmonję duchową: solidarność społeczną na polu uczuć i myśli.

Takie są znamiona filozofji zaczynającego się stulecia, takie przewidzenia dające się wysnuć z najnowszego zwrotu myśli.

Dookoła sceny i estrady.

Mieliśmy ostatnio dwie uroczystości jubileuszowe: jedną — poświęconą zasłużonemu pracownikowi sceny polskiej, autorowi interesujących „Notatek starego aktora”, kompozytorowi 800 z górą utworów muzycznych (pieśni, marsze, ilustracje do tragedji i dramatów), sympatycznemu odtwórcy Ojca Laurentego z „Romeo i Julji”—Władysławowi Krogulskiemu. Dyrekcja zaproponowała jubilatowi przedstawienie benefisowe, lecz otrzymała charakterystyczną odpowiedź: „Dosyć miałem zmartwień i zgryzot w mojem życiu scenicznym, wolę więc uniknąć tych, któreby poprzedziły i towarzyszyły benefisowi”. Zaiste smutny jest żywot aktora polskiego, jeśli natura nie obdarzyła go giętkim karkiem i mocnymi łokciami, dając mu aspiracje artystyczne.

Drugą uroczystością był benefis pożegnalny (tak przynajmniej wzmianki zapowiadały) Bolesława Leszczyńskiego w „Złotem runie”. Artysta trafnie wybrał jedną z najlepszych swych spółczesnych kreacji. Pamiętamy jeszcze wszyscy to potężne wrażenie, jakie wywarł w Ruszyczcu po raz pierwszy — i z żalem dziś spoglądamy w przeszłość, bez względu na to, czy benefis był ostatnim *pożegnalnym* występem wielkiego artysty, czy też tylko jednym z ostatnich.

Wznowienie „Złotego runa” w nowej obsadzie Przesławskiego i Rembowskiego nosiło cechy roboty dorywczej. Nadto czuliśmy bardzo dotkliwy brak nieodżałowanej pamięci Seweryna Nowickiego, niezastąpionego do dziś dnia w teatrze Rozmaitości. Bo przecież kreacja p. Solskiego o reminiscencjach z „Cara Dymitra” nie może być porównywaną ze skończeniem jednolitą i mocną sylwetką, jaką dawał Nowicki, a później Wostrowski. P. Weychert, choć zupełnie różny stworzył typ poety-kaboty, od kreacji Żelazowskiego, wyposażył go jednak w bardzo ciekawe szczegóły w scenie finałowej z Rembowskim. Mniej silnie wypadła scena

uwodzenia. Z dawnej obsady ujrzeliśmy znowu świetnych wykonawców Łackiego — Śliwickiego i Inki—p. Federowicz, niestety, tak rzadko ukazującej się nam na scenie.

.

Fatalny zwyczaj rozpanoszył się u nas i — nietylko u nas, że artyści i artystki z tak zwaną marką, na gościnnych występach ukazują się w odgrzewanych i najczęściej ogranych do niemożliwości rolach. Wyłączamy naturalnie repertuar klasyczny. Więc też i w teatrze Małym podziwialiśmy Michalinę Łaską w nowaljach tego rodzaju co „Lulu”, „Bez mężczyzn” i „Król”. Czy nie szkoda doprawdy czasu i atlasu, zwłaszcza że *atlas* jest wcale w przednim gatunku?

Maska.

IX i X KONCERT H. OPIEŃSKIEGO.

Wspaniały materiał twórczy pozostały po Chopinie, stanowi dla wirtuozów-pjanistów nieprzebraną skarbnicę — dostęp jednak do zawartych w niej skarbów, możliwy jest li tylko dla wyjątkowych talentów odtwórczych, do rzędu których należy bezwątpienia Józef Turczyński. Artysta ten obdarzony jest od natury wyjątkową intuicją artystyczną, więc też każde dzieło Chopina, chociażby najdrobniejsze, w interpretacji jego odznacza się krystaliczną wytwornością, a zarazem prostotą zupełnie samorodną. Duch Chopina żyje i przemawia tu z wielką siłą. W wykonaniu Turczyńskiego gra rolę nie kunszt sprawności technicznej, nie szkoła i nie umiejętność naśladownictwa, lecz szczerze poczucie frazesu muzycznego, tej mowy tonów, niezmiernie prostej, która kieruje tętnem naszego serca i przenosi uczucia nasze w sferę czystego natchnienia.

Turczyński ma więc prawo przemawiać do ludzi tą cudną mową muzyczną i uczyć ją pojmować.

Pięknie też odegrał fantazję Szumana, niemniej artystycznie Liszta, lecz najpiękniej odtwarzał Chopina: — jego trzy mazury i Polonez as-dur.

Tyle o Turczyńskim.

Niemałą atrakcją koncertu (IX) stanowił szereg nieznanych utworów plejady postępowych muzyków polskich: a więc; uwertura Nowowiejskiego „Swaty”, urywek symfoniczny z dramatu muzycznego Szopskiego „Lilje” oraz „Taniec mgieł” Opieńskiego.

Najpoważniej przedstawia się kompozycja Szopskiego, opracowana ze znajomością rzeczy i wytrawnością muzyka, władającego bardzo biegle harmonizacją, polifonią i orkiestracją, dzieło to odznacza się niezaprzeczoną nastrojem niedostatecznie, zdaniem naszym, uwypukloną przez dyrygenta przy pierwszym wykonaniu dzieła.

Uwertura Nowowiejskiego ma wytworną formę, instrumentowana jest efektownie, z podkładem melodyjnym o charakterze ludowym, dostępnym dla szerszej publiczności.

Taniec mgieł Opieńskiego — scherzo napisane na chór mieszany, zaliczyć należy do kompozycji bardzo udatnych, lecz nie jest to utwór posiadający zalety wybitniejszej wartości koncepcyjnej, ot — przygodny, miły obrazek muzyczny!

Dziesiąty i ostatni z cyklu koncertów Opieńskiego o urozmaiconym programie, przyniósł „Stabat Mater” Pergolese, Koncert organowy Gurlemant’a, wykonany z towarzyszeniem orkiestry przez znakomitego organistę Surzyńskiego i poemat symfoniczny Opieńskiego „Lila Weneda” — dzieło poważne i wartościowe.

Interpretacja odpowiadała wartości — świadczyła też o trosce pobudzenia szerszego ogółu do zainteresowania się kulturą muzyczną swojską — odrodzoną i owianą ożywczym, nowym duchem.

K. M.

ECHA ZE ŚWIATA.

Z wędrówek po Florencji.

W PRZEDSIONKU NIEBA.

Klasztor Św. Marka, ognisko życia duchowego i religijnego Florencji z końcem XIV wieku, jest dziś własnością rządową i publicznym muzeum. Pierwsze z nim zetknięcie oficjalno-urzędowe (woźni w mundurach i kaszkietach) nie usposabia zatem wcale do bogatej radości, jaką zwiedzających darzą ciche krużganki klasztoru.

Zrazu wędrujemy po nich nieufni i niechętni, lecz już na dole w czworoboku okalającym dziedziniec klasztorny, nastrój łagodny, błogosławieństwo uciszeń przenikać nas zaczyna.

Wstąpiliśmy w królestwo Fra Angelica.

Zakonnik to cichy i czysty, zapatrzony już tu na ziemi w weselne orszaki anielskie, w jasne wybrzeża nieznanego nam, ledwie wyczuwalnego świata.

Duch jego z niebnych krain dalej włada nad umiłowanym klaszturem i pierwiastek jego łagodnej mocy udziela się nam, którzy wchodzimy w to zacisze ze zgiełku i wrzawy świata, ze swarów wiecznie głodnego uciech życia, z zamętu świadomych żądz i nieuświadomionych porywów...

Z nad drzwi gospody dla gości (foresteria) spogląda na nas pielgrzym (Chrystus) między dwoma braciszkami zakonnyimi. Poważni krytycy powiadają, że w wyrazie rąk tak samo przemawia dusza, jak w błysku oka, wyniosłem czole lub pogardliwem ściągnięciu ust.

Rzadko tak się prawdę słów tych odczuwa, jak na freskach dominikańskich Św. Marka. Te długie, ascetyczne, wysoce harmonijne ręce, te uduchowione i doskonale piękne kształty, to dokument życia ich i cnoty.

Ręce takie może mieć tylko święty, arystokrata ducha, ascetyczny zwolennik wielkiej idei.

Koloryt blady, choć wyrazisty, odpowiada charakterowi fresku, nieziemskości, wyrazu pielgrzyma—Zbawiciela.

Pocziwe, pełne dobrodusznej gościnności spojrzenie braciszków zakonnych wybiega w spokoju sumienia śmiało naprzeciw przenikliwego, orlego wzroku Pana, pałającego miłością, co przemogła śmierć!

Na umysł daleki od niebnych szlaków i spalony spiekotą skwarne go życia, spada jasność z tego fresku jak objawienie, jak perlista, skrami tęczy rozblęła rosa...

Anioł pokoju rozpacza łabędzie swoje skrzydła...

Idziemy dalej. Nad drzwiami Refektorium Chrystus z pięcioma ranami — głowa tego samego typu co w poprzednim fresku, tylko rys cierpienia zaznacza bolesną choć łagodną różnicę.

Bardzo zniszczony fresk, przedstawiający Św. Dominika z biczownicą, nie pozwala wżyć się w piękność odczucia i głębię jego religijną — mgła wieków przesłoniła go oczom potomności.

Wzrusza zato pokorny gest Św. Piotra męczennika, nakazującego palcem na ustach milczenie.

Fresk ten znajduje się nad drzwiami zakrystji, gdzie stał na straży gorliwości zakonnej w zachowywaniu jednego z podstawowych przepisów współżycia klasztorne go.

W sali kapitulnej — wielkie ukrzyżowanie. Nie to, pełne cierpienia i męki, które nam kajać się każe w prochu i pokutę czynić; nie to, które krwawi ogromem ran i bólem ludzkiej winy; lecz ukrzyżowanie, co łyzy wyciska nad ofiarą niewinnego baranka, ukrzyżowanie balsamem kładące się na rozognione rany, grzesznej, lecz już łaską odrodzonej ludzkości, ukrzyżowanie widziane przez pryzmat łagodnej i bezgranicznej adoracji, o myśli przewodniej cudu zbawienia, nie konania męki okropnej.

Pojęcie malarza — anioła.

W górnych krużgankach znajdujących się na piętrze, ściany i cele ozdobione są licznymi freskami Fra Angelica i jego uczu. W pierwszym korytarzu nawprost drzwi, gdzie dziś rozłożyli się przekornie rządowi woźni i przewodnicy,

wita nas przedziwnie delikatnie odczute Zwiastowanie. Wiadać, że anioł zstąpił prosto z nieba, nie musnąwszy nawet skrzydłem tego padołu grzechu i łez — Matka Najświętsza zaś, to dziewczeczka niewinna, to wcielenię nieświadomej swojej wielkości, pokory i poddania.

Wędrownka po celach odkrywa nowe skarby słodyczy i wdzięku, gorącej wiary i dziecięcej ufności. Mimowoli rzewny nastrój przenika zwiedzających, milknie szwargot niemiecki, temperuje się swada brytańczyka. Wieki minęły, groza wojny, wyrok wywłaszczenia przeszedł nad murami dziś osieroconego klasztoru, lecz pierwiastek niebiańskiej cnoty promieniuje z tych ścian pustych; bezwiednie poddają mu się wszyscy, a nieliczni świadomi działań pozazmysłowego świata czczą i uwielbiają objawienie nieśmiertelnej mocy ducha.

Przemienienie Pańskie, Madonna królująca wśród świętych, święte niewiasty u grobu, któż zliczy te ciche preludja anielskiej symfonii barw?

Ukoronowanie Matki Boskiej zdaje się być najwyższym wyrazem twórczości freskowej Fra Angelica. Radość pokorna Matki, wieńczona ręką Syna, zasiadającego w chwale, przemawia ze spowicia mgieł i obłoków do widza, wywołując u niego także uczucie weselnego tryumfu. Sześciu dominikanów w klęczącej postawie z Św. Dominikiem w aureoli na przedzie, modli się u stóp Marji, a ciemne ich płaszcze tworzą artystycznie doskonałą plamę na przepojonej jasnością nieba ścianie ubogiej celki.

W ostatniej celce kruzganku na prawo, mieszczącej piękną adorację Trzech króli, zwykł był Cosimo de Medici, pan Florencji, odwiedzać mnicha-anioła. Uczniowie Fra Angelica, pracując pod jego kierunkiem i w blasku jego natchnienia, zostawili każdy w swojej celce ślad zbożnej myśli. Najczęściej malowali tragedję Golgoty — Ukrzyżowanie, pojęte w duchu nauczyciela i mistrza.

Podziwiamy też kilka obrazów Fra Angelica. Najpiękniejszą jest Madonna della Stella z gwiazdą na czole, otoczona chórem prześlicznych aniołów, o słodkim wyrazie twarzy a uduchowionych rękach, tuli do siebie wdzięcznym ruchem Boską dziecinę; wśród innych wyróżnia się jeszcze

Koronacja Matki Boskiej i Zwiastowanie. Obok idylli duchowo-anielskiej zwiedzamy w klasztorze Św. Marka także celę Sawonaroli, tego wulkanu zapału miłości i najwyższych poświęceń.

Zebrane w niej liczne po nim pamiątki, oprócz tego jest popiersie jego bronzowe przez Dupré'go, kopja starego obrazu przedstawiającego spalenie wielkiego dominikanina, krucyfiks jego i autografy, wreszcie po wszystkie czasy uwieczniający go obraz Fra Bartolomea.

Z ram obrazu spogląda na nas fanatyk-asceta. Zdradza go oko palające ciemnym żarem i cera śmiertelnie blada, policzki zapadnięte, wydatny, orli, ostro wygięty nos; kontrast przy kontraście.

Portret ten przejmuje uszanowania pełną grozą i nieuchwytnym lękiem przed wyjątkowością i olbrzymim ześrodkowaniem woli i zapału dla jednej, wszystko inne wykluczającej, przewodniej idei, sine usque ad mortem!

I na tem ostatniem wrażeniu kończymy pielgrzymkę po klasztorze Św. Marka, z przedsionku nieba zajrzawszy do ognia bólu i walki o ideę, wracamy do szarzynny dni terażniejszych, rozjaśnionej tym razem uśmiechem włoskiego nieba i wiecznie promienną pożogą słonecznego światła!

II.

Z TRAGEDJI GROBOWCÓW.

W Panteonie Florencji w kościele S-ta Croce, budzą się w nas odczucia różnej natury od tych, które nami władały przy zwiedzaniu innych wspaniałych świątyń tego miasta. Obok świętości miejsca i piękności artystycznej, przemawiają do nas także dzieje serc. Grobowce wielkich ludzi mówią do nas nie tylko o minionej świetności i sławie—życie ich uwypukła się przed nami, poprzez zimny marmur pomnika promieniuje ku nam nieśmiertelny dramat, nieraz tragedia ich życia.

Stajemy z podziwem wobec arcydzieła rzeźby, a zbyt mało i rzadko zastanawiamy się nad tem wspaniałem dziełem sztuki i wszechpotęgi jakim jest każde serce, każde życie ludzkie.

Bo w posągu gnie się i łamie marmur tylko lub bronz w rękach zaś arcymistrza wyrabia się i urasta w arcydzieło żywy i odporny duch. Jakiegokolwiek bądź jego koleje — czy zgodne z wielkim prawem ludzkości, rozbłysłem nad światem w łunach krzaku ognistego, czy urąganiem jemu tylko i zuchwałem wyzwaniem — kształtująca ręka wielkiego Artysty zawsze stwarza arcydzieło — tylko umieć patrzeć nań trzeba.

W kościele S-ta Croce dwa sarkofagi wśród innych przykuwają myśl moją. Świetne dzieło Canovy, grobowiec tragicznego poety Alfieriego i grobowiec jego Egerji, hrabiny Albano. Śmierć ich rozłączyła, nie spoczęli we wspólnym grobie, jak miłość wypełniająca ich życie, wspólnego i zupełnego im nie dała szczęścia.

Alfieri, duch mocny, potężny, talent porywający, zwycięski, skarłał i zmałał, gdy osiągnął cel swych ziemskich marzeń; moc twórcza zanikła, energja wyczerpała się w gonitwie za przemijającą rozkoszą.

A wielki Mistrz w niebiosach kształtował z ruiny talentu i młodości arcydzieło pełne nauki dla nas... bo sztuka, jak powiedział wielki nasz myśliciel-malarz Malczewski, jest „najwyższą ludzkości modlitwą” i bezkarnie sprzeniewierzać jej się nie wolno.

Szlakiem miłości urosły najpierw natchnieniu poety skrzydła.

— I ja też miałem Beatrycę moją!

Luiza Stolberg, „królowa serc”, żona pretendenta księcia Karola Edwarda Stuarta, niejedno już przedtem ujarzmiła i rozkochała serce.

Alfieri ujrzał ją po raz pierwszy w teatrze we Florencji i wiedziony instynktem samozachowawczym, uciekł przed złotowłosą pokusą do Sieny. Nie na długo jednak — a powrót jego równał się bezwzględnemu złożeniu broni. Pod wpływem jej urody i jej odwzajemnionej choć dyskretnej z początku miłości, stworzył Alfieri najwspanialsze swoje dramata np. „Santa”.

Potęgujące się coraz uczucie do poety z jednej strony, złe zaś obchodzenie się z nią rozpitego księcia z drugiej, zniewalają jasnowłosą panią do stanowczego kroku. Ucieka

do klasztoru przed mężem, przy pomocy Alfieri'ego i jego przyjaciół. Kardynał York, brat męża, wzruszony jej smutnym losem, ofiarowuje jej swój wspaniały pałac Cancellerię na siedzibę. Luiza z wdzięcznością przyjmuje. Tam spędzał życie także Alfieri. „Pani i poeta” — tak nazywali się wzajemnie, pracowali wspólnie; ona darząc go sympatją i zrozumieniem wysyłała ku niemu pierwiastki niewidzialnej siły, przy pomocy której z talentem swoim stwarzał arcydzieła.

Lecz prądy ujemne, prądy niechęci i zawiści, wirowały w koło ich głów beztroskich. Kardynał York, baczny na skandal wyczuwany pod jego dachem, postawił ślicznej bratowej surowe ultimatum. Cancelleria albo Alfieri — brzmiał nieubłagany wyrok.

Na razie przyszło do rozłąki. Alfieri rozpacział z włoską, bezgranicznie. Wreszcie w 1784 r. zgodził się pretendent na legalną separację i kochankowie zjechali się w Kolmarze nad Renem. — Spotkałem ją — pisze Alfieri — i oniemiałem z nadmiaru radości.

Niebawem umarł książę Edward. Złote bramy rajy otwierały się przed olśnionym wzrokiem wolnej od wszelkich więzów pary. Co ich wstrzymało od uprawnienia promiennego związku serc? Czy duma nie pozwoliła niedoszłej królowej zamienić nazwiska Stuartów na skromny tytuł włoskiego hrabiego? Czy rozkochani w poezji i napięciu dramatycznym, bali się prozy i powszedniości ustalonego związku? Czy może wprost nie dbali o tę sankcję życiodajną?

Nie uniknęli prozy i powszedniości, a sprowadzili ruinę ciała i ducha.

Po kilku latach pobytu w Paryżu i Londynie wracają „Pani” i „poeta” do Florencji.

Lecz jakże inni — jakże mali! Alfieri przedwcześnie postarzał się i przygarbił. Złote słońce Italji, cudne ogrody, ciemne lasy piniowe, lazurkowe blaski bezchmurnego nieba, ożywić go nie mogą. Ukochane miasto, Florencja, leży u stóp jego jak dawniej, gdy patrzy na nią ze wzgórz Viale dei Colli, lecz nie jest to już dla niego czarodziejskiej baśni pełen gród. Moc twórcza go odeszła. Dla odzyskania utraczonej, walczył namiętnie, próbował wszystkiego. Jeździł konno, odbywał długie piesze wędrówki, pracował w dzień

i w nocy, męczył ciało i katował ducha, daremnie—przyroda i nauka były dla niego księgą zamkniętą nieodwołalnie. Być może, że gwałtowne te środki zaradcze przyspieszyły jego koniec, gdyż śmierć czekała w pobliżu a on wyczuwał chłodne jej i nieubłagane tchnienie. Księdza nie było przy jego zgonie, jak Boga w życiu jego nie było.

Ciało Alfieri'ego złożono w Panteonie Florencji, w kościele Santa Croce.

Złotowłosa Sylfida, Egerja genialnego poety, zamieniała się powoli w otyłą, krągłą i rumianą niemkę. Żyła długo jeszcze nim spoczęła w marmurowym grobie.

Milczą kamienie i zimne sarkofagi, milczą o bolesnej tragedji poety, który wzamian za krótkotrwały raj miłości, utracił tęczowe królestwo natchnienia.

A co odczuwała Luiza, gdy genjusz, którego kochała i wyrwała twórczości, włókł za sobą połamane skrzydła, nie zdadne do lotu?

Milczą kamienie i zimne sarkofagi — a my bez czucia przechodzimy obok nich!

Celina Stoińska.

ANKIETA

„Echa Literacko-Artystycznego“.

Głos Zygmunta Badowskiego:

„Jedynie bezwartościowe, często wprost liche utwory literackie, pobudzają mnie do twórczej zemsty — arcydzieła literatury wprawiają w stan błogiej beczynności. Odwrotnie się dzieje wobec dzieł sztuki plastycznej: kiepskie rzeczy, jak mianowicie te, z którymi w latach ostatnich najczęściej obcuje — zniechęcają, dzieła kapitalne — są bodźcem.

Niesłychanej rozkoszy doznałem dzięki Żeromskiego menuetowi (z „Popiołów”), a największego wstrętu, kiedym skandalicznie zaprotestował w teatrze przeciw scenie z kafkanem bezpieczeństwa (w „Ojcu” Strindberga). Wszystkie moje pomysły do obrazów są zawsze literackie, ponieważ jestem piśmienny, teatralne, gdyż w ramach zawsze się mieści scena i tendencyjne — naprzekór bezmyślnej bezcelowości beznamiętnych bezmieściców, maskujących zresztą niekiedy tendencyjki niedwuznaczne.

Uznaję w sztuce naśladownictwo jawne, wypływające z uwielbienia dla umiłowanego mistrza (trudno zarzut postawić chrześcijaństwu z tego, że się wzoruje na Chrystusie) nienawidzę komiwojażerstwa artystycznego, a szczególnie fabrykowanych w kraju falsyfikatów najnowszej mody paryskiej. Znosić również nie mogę: oryginalności, indywidualności, syntetyczności, dekoratywności i temu podobnych dziwolągów, — zanim zaczęto takich okropności od malarzy wymagać, Puvis de Chavannes zdążył, chwala Bogu, wymalować swojego „Rybaka”.

Wybujała indywidualność — czyż nie jest dziś pospolitością, obraz — jaskrawym afiszem reklamującym autora, oryginalność czy nie polega na tem, że sztukę traktuje się jak sport, nietyle higieniczny wprawdzie, wiele karkołomny,

a synteza, jakże się ma do niedołęstwa i czelności — a sławetna dekoratywność, nie jestże odebrana przemocą zacnym malarzom pokojowym po to jedynie, ażeby za pomocą niej znieważać tak zwanych malarzy artystów?

A nasza krytyka fachowa, tyle wiedząca a tak mało widząca, ślepa nawet na własne ofiary: wczoraj „genjusze”, dzięki gazeciarskiej pasji do sensacyjnych odkryć — dziś zblazowani, syci własnej sławy, młodzieńce niedokończeni.

Zaiste, jakże trudno nie czerpać natchnienia w literaturze i pędzla nie porzucić dla pióra, gdy tyle się nagromadziło zamętu — a nowego Witkiewicza jak nie było, tak niema.

Głos p. Stanisławy Korczak:

Na wezwanie „Echa Literacko-Artystycznego”, jakie dzieła sztuki plastycznej największe na mnie robią wrażenie? Odpowiadam:

Pierwsze ogromne wrażenie wywarły na mnie rysunki Grottgera. Poznałam je mając lat szesnaście. Całemi godzinami wpatrywałam się w jego „Lithuanie” i teraz, za każdą bytnością w Krakowie idę ją oglądać.

Później trochę zachwyciałam się cudną sielanką Siemiradzkiego „Gonitwa za motylem”. Czar gorącego, południowego kolorytu i wdzięk lekkości ruchu dwojga ślicznych dzieci w refleksach słonecznych promieni padających na nie przez konary wyniosłych drzew. Dziesiątki lat minęły od czasu, jak obraz ten widziałam a zachowałam go doskonale w pamięci.

Równie jak „Skamieniałego Druida” Wyczółkowskiego. Szkic do tego obrazu wolę jeszcze niż sam obraz.

Z dzieł wielkiego Matejki wyróżniam „Kazanie Skarg” „Wernyhorę”, „Maćka Borkowica”, a przedewszystkiem tragicznego „Rejtana”. Jego wspomnienie burzy sen nocny.

Kocham pełne melancholji krajobrazy Chełmońskiego, patrząc na nie, zapominam że jestem w mieście i zdaje mi się chwilami, że czuję cudną woń moich rodzinnych pól.

A godzinami całemi wpatruję się w niektóre obrazy Jacka Malczewskiego. Jego smutni, głęboko zamyśleni lu-

dzie w aresztanckich kubrakach są moimi serdecznymi przyjaciółmi. Lubię także jego młodych pokojowych malarzyków w podartych butach, a zadumanych o wielkich przeszłych dziełach, ich wizje o wielkiej sztuce i owych „Gości” nawiedzających samego artystę. Ale niecierpię jego „Chimery”; ile razy ją ujrzę, na długo zatruwa mi ona moje własne myśli.

Z dzieł młodszych artystów: Smutne, zziębnięte ibisy w klatce „W niewoli” Stabrowskiego, napawają mnie goryczą, pomimo że kilka lat już minęło jak je widziałam.

Co do rzeźby naszej: Współczuję nieszczęśnikowi „W szponach” Jagmina.

A lubię bardzo „Kleopatę” i siłacza „Precz z drogi” Czarnowskiego.

Nie rozumiem dlaczego nie odznaczono na konkursie projektu na pomnik Chopina, Dunikowskiego. Biła z niego wielka siła wyrwającego się z materji ducha.

Największego jednak wrażenia doznaję wobec rzeźby staro-greckiej. Zawsze mi żal żegnać się z „Wenus z Milo”, ile razy widzę ją w Paryżu. Dawni Grecy znali dwie Afrodyty: ziemską i niebiańską. Rzeźba w muzeum Louvre’u przedstawia napewno niebiańską. Majestat ducha wieje z jej uszkodzonego marmuru.

Z dzieł Michała Anioła, w oryginale oprócz szkiców znam tylko „Erosa” w British Muze w Londynie i przepięknych „Gońców” w Paryżu. Ale ze wszystkich dzieł sztuki na świecie, najwięcej mnie przejmuje „Stworzenie człowieka” Michała Anioła, chociaż je znam tylko z rozmaitych reprodukcji. Adam niedołącznym ciężarem ciała nieomal zrośnięty z ziemią, a ze wzrokiem o niewysłowionej tęsknocie wzniesionym ku Stwórcy, wyciągający doń rękę, ale nie mogący dosięgnąć jego dłoni — to wieczna, wstrząsająca tragedia, wyrwającego się ku wyżynom a tkwiącego w cielesności ludzkiego ducha.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

NAUKA I STUDJA.

Władysław Korycki. „*Odrodzona szkoła*“. Warszawa, 1914.

Umieszczam najpierw słowa wstępne autora, poprzedzające jego książkę:

„Pracę moją poświęcam i przypisuję tym pedagogom i wychowawcom, którzy z narażeniem swego bytu materialnego stoją na straży moralnego zdrowia młodzieży, a także tym, którzy nie przeszkadzają rozsądnym i rozumnym reformom szkoły i tym, którzy choć w odrobinie chcą ulżyć i pomódz młodzieży.

Nie przypisuje jej tylko ludziom twardym i zaciekłym w uporze, płaskim rutynistom, tępych rzemieślnikom i urzędnikom, a również wszelkim karierowiczom quasi pedagogiki“.

Treściwie, jędrnie wypowiada się autor i dzięki mu za to, bo bierzemy chętnie do czytania pracę jego, z dobrą nadzieją i dobrą wiarą, że wszystko co nam w niej powie, będzie dobre, bo o dobro naszej młodzieży walcząca.

Korycki przytacza na pierwszych niemal stronkach słowa Fredry: „wielka jest różność umieć samemu co, a umieć tegoż nauczyć kogo“ — i dalej słowa Fry-

cza-Modrzewskiego *) „Nauczyciele jeno z królami i biskupami porównani być mogą“. Gorącemi więc też słowami podnosi autor godność nauczyciela, naznaczając mu niemal kapłaństwo u Ołtarza *Nauki wychowania*. Chce go mieć nietylko rozumnym, znającym swój przedmiot, posiadającym przy wykładzie jasną wymowę, zapał nawet, ale po nad wszystko, kochającym uczeni swych i nie tracącym nigdy z myśli, że to przyszli obywatele kraju, — obrońcy swej ziemi.

Autor zaznacza silnie, że życie nauczyciela nawet po za szkołą, powinno budzić w uczniach, jeśli już nie miłość to szacunek dla niego, powinno, choć niewidzialną ale mocną nicią łączyć ich duchowo, przeznaczając mu wysokie stanowisko jako wzór człowieka, w który wpatrzeni pójda za nim w życie.

Nauczyciel kochany, po długich, bardzo długich latach przez siwo włosych, zgarbionych ciężarem życia uczeni swych — bywa wspomniany rzewnie, radośnie a serdecznie, nieraz ze łzą w oku. W skarbczyku drogich pamiątek rodzinnych, leżą często pożółkłe kartki, ręką nauczyciela kreślone, nie-

*) Frycz Modrzewski, — pisarz polityczny — ur. 1503 — 1570.

tylko jako świetlanej młodości wspomnienia ale jako wspomnienie człowieka kochanego a zanego i dobrego.

— Zaniedbanie duchowej sprawy wychowania i niedołęstwo kierunku, ale uświęcone tradycyjną rutyną w prowadzeniu szkoły, — a także często niestety tylko interes własny materialny ponad wszystko, wywołuje głośny protest autora. Bada więc systemy nowych szkół na Zachodzie, szczególnie angielskich i przytacza słowa Spencera, którego wpływ w Anglii, tak decydująco przed laty zaznaczył się, tworząc nowy, postępowy typ szkoły. — „Jakże wielu studjuje gorliwie podręczniki racjonalnej hodowli bydła, a nie wiedzą jaki jest odpowiedni pokarm dla ich dzieci“ lub „czas już, aby nietylko byki i owce, lecz i dzieci nasze mogły korzystać z odkryć naukowych, poczynionych w pracowniach chemicznych“. Tak mówi Spencer do ojców i wychowawców Anglików (czy słowa te tylko do Anglików stosować można?).

— Przy wadliwości w dotychczasowym ustroju szkoły, streszczającym się głównie w zarzucie przeciążenia umysłu dziecka, bez uwzględnienia czynników fizycznego wychowania, pisze autor zane słowa — „o ile w tem wszystkim wybaczone są grzechy umysłu, który błędzi, bo nie wie, to grzechy serca rzucają ponure światło na ludzi złej woli, tam zwłaszcza, gdzie sprawa dotyczy życia, zdrowia i szczęścia całych pokoleń“ — na które to słowa, jakby smutne echo odległego przeżycia, słyszy autor uchem ducha, protest gnębionych i nękanymi ongi:

„pocoście nam odebrali chęć do nauki, radość życia, impet woli, zdrowie, szczęście“.

Więc dużo kart poświęca autor *rozwojowi fizycznemu*, jak wiadomo już od dawna, działającemu dodatnio na umysł. Zaleca wprowadzenie gimnastyki, lecz pojętej w nowej formie, a zastosowanej już w Belgji w 1887 r. przez Docx'a. Anglja, Francja, Szwecja przyjęły te kierunki; obecnie Dalcroze ujął ją w formy może najdoskonalsze. Zmiany te polegają przedewszystkiem na zastąpieniu dawniejszej gimnastyki—*grami*, o ile można, odbywającymi się na powietrzu — gimnastyka dawna, wkraczająca często w atletykę, bywała nawet nieraz szkodliwą — dziś, nietylko w wymienionych wyżej krajach, ale nawet w dumnych ze swego szkolnego systemu Niemczech, wszystkie godziny ćwiczeń gimnastycznych są zastąpione grami. W program ich wchodzi oczywiście wioślarstwo i pływanie, kolarstwo, kursa piesze i wszystkie dostępne uczącej się młodzieży sporty — jak dla chłopców tak i dziewcząt; Anglja, wiadomo stoi w rozwoju ich najwyżej.

Prastara maksyma „mens sana in corpore sano“, jakby wskrzeszona z długoletniego letargu, powstaje i niech będzie błogosławioną, bo wróży nam tych dzielnych przy wszelkiej pracy społecznej robotników.

Długie lata błąkała się wśród nas idea zwycięskiej siły ducha nad ciałem, którego ascetycznym umarłowieniem miała nas ona wynieść na wyżyny dostępne dostojnikom ducha a prorokom narodu. Pierwsza połowa XIX wieku w ewolucyjnym pochodzie dziejów

myśli naszej, zostawiła nam ideę tę w spadku; to szlachetne, smutne dziedzictwo nie sprawdziło jej pragnień i marzeń. Kilka dziesiątków lat minęło, lat ciężkich i krwawych w przeżyciu, nim doszliśmy do syntetycznej rozwagi, która wskazuje nam wyraźnie imperatywnie niemal drogi, po których kroczyć winniśmy, bacząc jednak pilnie na zachowanie *równowagi* w rozwoju sił jak ciała, tak ducha.

Krajoznawstwo jest także ważnym czynnikiem w wychowaniu szkolnem; dowodzić tego zbyt czuwanie. Poznanie własnej ziemi-macierzy — pamiątek jej przeszłości, osobliwości, piękności, to nawet obowiązek. Zdarzają się bardzo często jednostki, które już dawno przekroczyły lata nauki i młodości, a nie znają nawet miasta rodzinnego, choćby to był gród stary — stolica nasza, zawierająca w swych murach nie tylko pamiątki historyczne, ale i rozwój tegoczesnego życia; nie tylko kościoły pomniki i muzea, ale fabryki, zakłady techniczne, ustrój różnych instytucji naszego społecznego życia.

Kumulacja, czyli całostkowanie godzin nauk, znajduje w Koryckim zwolennika, bo uznaje on słusznie korzyści takiego systemu walczącego przeciwko targaniu w strzępy umysłu i pamięci dziecka ucznia, zmuszonego przez sześć godzin spożyć sześć odrębnych pokarmów. O przetrwaniu ich nie może już być mowy; mocny tylko bardzo organizm przyjmie je bez szkody, ale żadnemu nie posłuży jako pokrzepienie, a cóż żądać dopiero żeby był pragnieniem dalszej umysłowej stawy — lub radością ze zdobywania jej.

Ostatni rozdział nosi tytuł *wychowanie estetyczne*. Obraz szkoły pod tym hasłem, to wymarzone czarodziejkie Eldorado. Sale szkolne jasne, słoneczne, wysokie, ściany ozdobione obrazkami i sztychami, okna roślinami i kwiatami — dużo, bardzo dużo kwiatów. A w tych salach wszystkie skarby sztuki powinny być w życiu uczni wplecione. Muzyka, śpiew i chóry, taniec rytmiczno-klasyczny, przedstawienie teatralne etycznie uszlachetniające i poezja. Żywe słowo w poezji, „to dwie wielkości razem sprzężone” — o tej sztuce wymowy pisze autor szeroko, a niestety jest ona zupełnie zaniedbana u nas. We Francji „Sztuka czytania” Ernesta Legouvé, jest we wszystkich szkołach publicznych wykładaną i obowiązującą. Juljusz Tenner w swem dziele „Estetyka żywego słowa” mówi; „czem dla kompozycji muzycznej wykonanie, tem jest dla poezji żywe słowo”.

„Wiele, bardzo wiele zaniedbano u nas na tem polu i czas wielki, żeby zabrać się do naprawy tego gmachu. A gmach to podwójny. Bo nam chyba bardziej niż innym narodom pielęgnować przystoi ducha narodowego, to jest mowę ojczystą. Czy — pyta autor — może być dobrym mówcą, nie umiejący dobrze mówić: — kapłan na ambonie, adwokat przy kratkach, poseł w parlamencie, jeśli chce bronić słusznej sprawy, powinien umieć dobrze mówić.

Tego wszystkiego szkoła może i powinna nauczyć. Autor woła z uniesieniem: „Sztuka — to prawda, sztuka — dobro, sztuka — religja!” Biorąc wzory z Zachodu, patrzymy znów na Anglię, która do

swej nowożytnej szkoły szeroko rozwartemi drzwiami wprowadziła w ostatnich latach pod wpływem parafaelistów, estetykę we wszelkich jej objawach, z całym jej szlachetnym wdziękiem a prostotą.

Wiele pięknych, zacnych, mądrych uwag autora opuścić muszę dla braku miejsca—to jeszcze zaznaczając, że projektuje utworzenie, przy Stowarzyszeniu Nauczycielstwa polskiego Sekcji wychowania estetycznego.

A ostatnie słowa pięknej, szlachetnej pracy Koryckiego — są:

„Ogrom życia świeżego, nowego, radosnego i wyzwolonego, rozlewnego i prężnego, nowej, bujnej energii, może wnieść ta sekcja.“

Niechże powstanie!

Ev. B.

Wincenty Kosiakiewicz. „*Mój syn wstępuje do szkoły*“. Kilka rad dla młodzieży. Poznań r. 1914. Nakład drukarni i księgarni Św. Wojciecha.

Wytworna tak zewnętrzna szata jak zamierzeniami ideowemi, mała książeczka p. Kosiakiewicza mieści w swych 60-ciu stronicach wiele rad zacnych, szczerem przekonaniem i serdeczną troską o młodź szkolną podyktowanych. Zakresem swym jednak odpowiednie mogą te zacne, jednostronne rady, jedynie młodemu pokoleniu wysoce bezkrytycznemu, podającym się z góry, bez zastrzeżeń, autorytetowi każdemu, w imię bezwzględного posłuszeństwa.

My np. zakwestjonowalibyśmy ów *sakaz* formalny, dany synowi, by z obawy utraty wiary, w dyskusjach religijnych nie brał udziału, i odpowiadał na wszystkie zarzu-

ty wymijającym „*nie wiem...*“, ponieważ obronić religji swej nie będzie w możności. Wolelibyśmy by ów ojciec kochający i wierzący, sam uzbroił syna swego w kilka mocnych, ważkich argumentów mogących stać się dla niego tarczą przeciw sceptycyzmowi kolegów...

Następnie zdumiewa nas jedna jeszcze niepojęta luka w tym pedagogicznym wykładzie, a mianowicie: jest tam mowa o pracy i uczciwości, o przyjaźni koleżeńskiej, o dobrych stopniach mających serca rodziców radować, jest nawet mowa o nauce torującej drogę do prawdy (choć to poddane pewnej wątpliwości), a przede wszystkim o praktykach religijnych, wyniesionych z domowego wychowania, o które wyczuwa się gorącą, nieklamana troskę autora, by ich młodzież nie zatraciła w dysputach z niedowiarkami... Zaś niema jednego bodaj słówka o *etyce życia*, o moralności i czystości obyczajów — tej ostoi wiary, silniejszej może od zewnętrznych praktyk religijnych. Ani jednym słowem ów troskliwy ojciec, wypuszczający jednak już piętnastoletniego syna do szkoły, nie ostrzega go przed zabójczym, koleżeńskim wpływem w tak poważnej materji — nie ostrzega go przed niebezpieczeństwami i pokusami, których nie zdoła odeprzeć jeśli go rozumny wychowawca na czas nie oświeci ani pouczy...

I wiara chłopięca runie w zetknięciu z brudem życia, choćby ucniak w myśl rad ojcowskich, unikał dysput religijnych... Czyżby p. Kosiakiewicz należał do epigonów przeżytej już dawno rutyny

pedagogicznej, głoszącej, iż o etyce i higjienie „nie wypada” mówić młodzieży, póki sama własnym doświadczeniem gorzko nie zapłaci za swą nieświadomość?...

Staw.

POWIEŚĆ i NOWELE.

Stanisław Korabicz. „*Kiry i wawrzyny*”. Powieść z czasów Księstwa Warsz. — Tom I i II. — Poznań. Nakładem ksiąg. Św. Wojciecha. 1914.

Stanisław Ostrowski. „*Rok kłęski*”. Powieść z czasów Księstwa Warszawskiego. Warszawa. 1914.

Nakład Gebethnera i Wolffa.

„Książę Józef! Jak imię jedynej kochanki, tak imię to miało władzę niepodzielną nad setkami żołnierzy. Budziło w nich słodki dreszcz miłości, czci, uwielbienia. Bo też książę był istnym kochankiem szeregów narodowych. Uosabiał w sobie żywy wzór szlachatności, męstwa, i tej niezrównanej cnoty rycerskiej, którą zdolne było wyczuć prostacze serce najostatniejszego z żołnierzy”. Temi słowy określa bohatera z pod Raszyna p. St. Ostrowski autor niejednej już polskiej powieści batalistycznej, ostatnio „Roku kłęski”. Zarówno on w tej ostatniej jak i p. St. Korabicz w „Kirach i Wawrzynach” całą uwagę swoją skupili wokół postaci Poniatowskiego, starając się tłem dosadnie podmalowanem i charakterystyką gieneralicji polskiej i obcej wraz z hufcami żołnierzyków bez bojaźni i trwogi w ogniu ginących, a zapatrzonych w wodza swego oblicze i bohaterskiej animozji czyny — ofiary dla dobra ukochanej przez się Ojczyzny, — uwypuklić genjusz wojenny tego

rycerza bez skazy, co honoru Polski strzegł więcej nad życie własne — dla tegoż honoru w nurtach Elstery śmierć chwalebłą poniósł.

Właściwie na miano powieści zasługują tylko „Kiry i wawrzyny” w których autor po za batalistycznymi scenami, kreśli z talentem obrazy, odzwierciadlające epokę napoleońską, zawiązuje intrygę i konsekwentnie przeprowadza proces perypetji miłosnych Tadeusza i Pauli, urozmaicając tem zasadniczy motyw powieści. W równie mocnych barwach rozwija przed czytelnikiem krwawe zapasy w murach Madrytu, jak i cichą tragedję polskiego ducha przed austriackim sądem wojennym w Ostrowiu.

Zaś p. Ostrowski w „Roku kłęski” a więc w „Roku 1813”, za punkt ciężkości już nie powieści lecz raczej rapsodu, przyjął wyprawę partyzancką gen. Umińskiego do Czech, uczyniwszy bohaterem jej Marka Żymirskiego, tak zawsze miłego sercom naszym ulana polskiego — a później ze ścisłością strategiczno-historyczną opisał ruchy wojsk polskich przy zdobyciu Drezna i pod Lipskiem z ks. Józefem na czele.

Oba utwory te zalecają się poruszoną w nich tematem i czyistością języka.

A. S.

Stanisław Przybyszewski. „*Dzieci nędzy*”. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa.

Na pogrzebie starożytnego Krywly, panna obszernych włości, zjeżdża jego potomstwo: czterech synów i córka. Zapoznajemy się z nimi właśnie na pogrzebie, a losy ich dalsze stanowić będą treść po-

wieści. Niezwykłe to potomstwo. Syn najstarszy (z drugiego małżeństwa) Gustaw, jest obłąkańcem na tle teozoficznym; Zdzisław jest chorobliwym alkoholikiem; Jan, z początku względnie najnormalniejszy, kończy obłędem; córka Sala — prostytutka; syn z pierwszego „małżeństwa” Zbigniew — „niebezpieczny” anarchista. Oprócz nich poznajemy jeszcze drugą córkę, małą, obłąkaną Zosię i żonę Zdzisława Jadwigę. Losy tej miłej rodziniki są równie — jak ona sama — niezwykle. Gustaw, po pogrzebie, dzieli swój majątek pomiędzy nieprawych synów zmarłego ojca, a sam wyjeżdża na Ceylon, do buddyjskiego klasztoru, Zdzisław oddaje się w dalszym ciągu pijaństwu, aż wreszcie umiera na paraliż serca. Jan przez parę dni leży w gorączce, wydaje mu się, że jest Kainem, Judaszem, Chrystusem, Tytusem Sallustjuszem (wnukiem historyka) i budzi się oszalały z miłości do żony Zdzisława, Jadwigi. Z powodu braku woli nie sięga po „dojrzały kłos jej żywota” i wyjeżdża za granicę. Zbigniew uświadamia sobie, że kochał od dzieciństwa Salę (obecnie, dzięki ojcu — prostytutkę), która wydaje mu się teraz oślepiąco piękną i godną pożądania. Sala, aby się zemścić nad ojcem (!), oddaje się Zbigniewowi i nazywa to „świętą, dostojną chwilą szczęścia”. Zbigniew następnie w Paryżu zakłada laboratorium bomb. Ma tam w suficie jeden błyszczący guzik, który wystarcza tylko nacisnąć, a „najbogatsza i najwięcej zaludniona część miasta wyleci w powietrze”. Strach! Tym sposobem chce „narobić kłopotu Stwórcy”. Pomaga

mu Sala, werbując dla jego anarchistycznych przedsięwzięć najniebezpieczniejszych paryskich apaszów. W laboratorium Zbigniewa, po różnych pochroniowskich perypetjach, zjawia się Jan, który zdążył zdobyć wiedzę najwyższą i trzyma ręce na „pieczęciach wszelkich tajemnic”. Tajemnicę najwyższą i ostateczną, że Bóg oszukał człowieka, albowiem przyobiecane człowiekowi raje są pustką, niczem — Jan może powierzyć tylko jednemu na tysiąc, a dwum na dziesięć tysięcy. Zanim jednak ma czas zastosować tę oryginalną arytmetykę — dotknięty ostatecznym obłędem — umiera, szczęśliwy, że „żadna wola do życia powołać go nie może”.

Książka gruntownie niemoralna. Bynajmniej nie z powodu „silnych” tematów i scen, lecz wyłącznie dlatego, że jest pozbawiona doszczętnie artystycznego sumienia i prawości artystycznej. Niedbalstwo wyobraźni, niedbalstwo stylu, niedbalstwo języka — na każdym kroku, na każdej stronie, w każdym niemal zdaniu. Panuje tutaj wszechwładnie niekonsekwencja psychologiczna, granicząca z niedorzecznością i najzupełniejsza bezcelowość artystyczna. Poza to ta dziwnie przykra książka napisana jest językiem częstokroć haniebnym. Spotykają się takie np. zwroty: *miałem z nim współczucie* (str. 60), *sama siebie ci się oddam* (str. 79) i t. p. Trudno zrozumieć konieczność powstawania podobnych utworów.

L. P.

Helena Filochowska. „Czarne łabędzie” Kraków, Nakładem księ-

garni wydawniczej J. Czarneckiego w Wilnie.

Nie wiem napewno, ale mam wrażenie, że tom tych nowel został wcześniej w świat wypuszczony aniżeli „Kobieta w masce“, — a przypuszczenie to opieram na pewnej „nadwrażliwości“ autorki, na wahaniu się w sposobie ujmowania wrażeń, co zwykle towarzyszy pierwszym wzlotom natchnienia. Opanowaną zupełnie w formie i treści — jest śliczna, misterna — jak to cacko, które opisuje — nowela p. t. „Amphora“ — i radabym powtórzyć za jednym z bohaterów owego króciutkiego opowiadania — Claudjusem te słowa pełne wyrafinowanego kultu piękna: „Kochaj teraz tylko twą amforę — twą białą greczynkę na niej, której ci śmierć nie wydrze, przyjacielu. Powołana do życia może przez samego Fidjasa, przetrwa wieki i biała, smukła, olśniewająca — żyć będzie wiecznie“...

Tak przemawiał Claudjusz-Petronjusz i myśl tę autorka „Czarnych łabędzi“ wplata jak symbol nieomal we wszystkie swoje wizje artystyczne — pieści się nią — jak Tullius-Cassius swoją amforą — i kształtami pięknej Greczynki. Nowelę tę wysuwam na czoło zbioru, bo w niej najmocniej i najbardziej bezpośrednio przemówiły usta *artystki*.

O młodości obserwatorki życia mówi natomiast nowela „Spojrzenie“, jest tam jeszcze wiara w cudotwórczą moc jednego *sporządzenia kobiety*, bo przecież, gdyby Julja spojrzała *inaczej* na narzeczonego zwierającego się jej z podlostek i brudów — on by przeistoczył się może w bohatera, może w pokutnika skłonnego do umartwień. W

to wierzy autorka, bo tak każe jej czysta młodość — bo doświadczenie dopiero powoli kładzie na oczy ciemne okulary, stopniowo odziera z kwiałów łodygę, co patrzała w słońce. Twaree przecucie „życia“ przenosi nas natomiast w jaskinię krzywdy i zepsucia i oto w „№ 14“ kieruje dłonią autorki, podsuwając jej barwy i kształty, od których dusza kurczy się i łamie jak kiść przekwitającego bzu pod ciężarem nawalnicy. Bliższą jednak ideału piękna jest „Amphora“ i nowela ta decydować będzie o niekonwencjonalnych zaletach całego tomiku.

K. Łoz.

PRZEKŁADY.

Plotr Jan de Béranger. „*Piosenki*“. Wybór przekładów polskich. Układ Władysława Nawrockiego.

Redaktor „Muz“, J. Lorentowicz wypuścił w świat dwa tomiki piosenek Bérangera opatrzwszy je słowem wstępem, drukowanym poprzednio w „Echu“ (zeszyty styczniowe 1914 r.). Skreśliwszy żywo zarówno historyczne jak obyczajowe podłoże piosenki francuskiej, począwszy od jej kolebki: ulicy — aż po słynne: kabarety Montmartru — autor przedmowy zatrzymał się dłużej nad charakterystyką indywidualności samego Bérangera — opowiadając barwnie perypetje urozmaiconego żywota poety. Źródłowe opracowanie i wnikięcie w epokę, która go wydała, czynią tę przedmowę ważkim przyczynkiem do kultury i literatury francuskiej.

Przekłady pieśni piór różnych naszych poetów jak to: Czesława Jankowskiego, Wincentego

Korotyńskiego, Ludwika Kozłowskiego, M. Rodocia, Władysława Syrokomli i innych — zebrał i ułożył umiejętnie w pewien całości kształt artystyczny — znany poeta i tłumacz utworów cudzoziemskiej literatury — Wład. Nawrocki. Polecamy uwadze czytelników zwrotki „Denuncjacji”; „Mój karnawał”, owiane beztruską ironji, która gotowa w uśmiech składać usta poety, nawet wówczas, gdy spotyka go cios najboleśniej — zawód i niewola. Miłym, pogodnym liryzmem wyróżniają się wiersze „Do mojej kochanki”, „Strych”, „Starość”, zaś „Czterna-

sty lipca” (pisany w więzieniu) pełen wiary w to, że: „Gdzie się jem — wszystkie ludy zbiorą plony”, kończy się złotymi zgłoskami, ową muzyką „jutra” — dźwięczącą sercom i duchom: „Wolności! głos mój co się gróźb nie lęka”, głosi swą sławę w kaźni, zawsze stały. Do moich katów śmieje się jutrzienka. Pogodne słońce święci ów dzień chwały! Warto przeczytać zbiór piosenek Bérangera i odświeżyć się w krynicy ich nigdy nie starzejącej się młodości!

K. Łoz.

KRONIKA.

Warszawa. *Odczyty p. Cesarego Jellenty o Wagnerze, wygłoszone w sali Hermana i Grossmana.* Chociaż literatura o Ryszardzie Wagnerze jest bardzo obszerną, a i sam Wagner napisał dziesiątki tomów, jednak słowo wypowiedziane z mównicy z należyłą znajomością rzeczy i powagą ma bezwzględnie doniosłe znaczenie dla rozwoju naszej kultury.

P. C. Jellenta wypowiedział swe odczyty ze swadą i zapałem świadczącym wymownie o przeprowadzonych przez niego studjach nad tytaniczną postacią Wagnera, nad twórcą dążącym do zrzucenia brzemienia rutyny, formulek i formuł, w chwili, gdy estetyka akademicka przybrała charakter suchej nauki scholastycznej, negującej wszelki promień porywu ducha.

Potężna postać Wagnera, wciśnięta w ramy trzech odczytów,³ nie mogła być scharakteryzowana z wyczerpującą dokładnością, jednak i ten pobieżny szkic daje już pewne pojęcie o całokształcie twórczości mistrza z Bayreuthu.

Przywykliśmy do chaotycznych sądów o sztuce, wygłaszanych na podstawie już to intuicji, już to dorywczych notatek dziennikarskich najsprzecznieszej natury. Jedną zatem z dróg do skierowania na właściwe tory pojęcia ogółu o sztuce, powinny być odczyty organizowane przez instytutcję spe-

cialnie do tego celu powołaną t. j. przez Filharmonję.

Szereg takich odczytów, odczytów popularnych, o cenach najniższych, ściągnie pod jej dach tysiące młodzieży i tą drogą zaznajomi ją z zasadami sztuki i jej rozwoju.

Tymczasem zaś podnieść należy prywatną inicjatywę znawcy Wagnera — p. C. Jellenty i zachęcić jaknajszersze koła do zapoznania się z rezultatem jego wieloletnich studjów nad artystą i jego dziełami.

Berlin. *Odczyty.* Dnia 1 Marca p. Stefanja Goldenring tłumaczka wielu powieści i utworów dramatycznych Zapolskiej*) wygłosiła w języku niemieckim odczyt w Lyzeum-Klub p. t. „Współczesna literatura kobieca w Polsce“, w którym wytknęła linję rozwojową, poczynszy od Orzeszkowej a kończąc na Zapolskiej. Wobec dużego powodzenia, z jakim spotkała się prelegentka, odczyt powyższy ma być powtórzony.

Wieczór pieśni i słowa. W jednej z dzielnic Berlina, w Moabicie, gdzie niedawno zaszedł smutny wypadek wypędzenia z kościoła dzieci polskich, pragnących przystąpić do pierwszej komunji,

*) Obecnie pracuje nad przekładem ostatniej nowości naszej powieściopisarki p. t. „O czem się nawet myśleć nie chce“.

odbył się 22 marca „wieczór pieśni i słowa”, na którym wykonawcami byli Edmund Rygier, Wanda Siemaszkowa oraz p. Różański (w zastępstwie pani Pelagji hr. Skarbek).

Pewną część dochodu przeznaczono na rzecz Tow. „Opieki nad wychodźcami sezonowymi”. Cel ów, jak również nazwiska wykonawców, ściągnęły nieomal całą elitę kolonji berlińskiej. Wieczór nie przyniósł mocnych wrażeń, jakich można było się spodziewać.

Przedewszystkiem, miast zapowiadanych w programie wyjątków z „Legjonu” Wyspiańskiego, „Zaczarowanego koła” Rydla, oraz „Słowackiego”, usłyszeliśmy tylko drobne utwory Konopnickiej i. „Czarny szal” Ujejskiego. Nadto opuszczono „Grób Agamemnona” Słowackiego, (Rygier) i „Deszcz jesienny” Staffa (Siemaszkowa). Panią Pelagję hr. Skarbek, znaną z występów w Paryżu, Brukseli, Wiedniu, Pradze Czeskiej i innych stolicach europejskich, zastąpił młodzieńki jeszcze śpiewak, p. Różański, pozbawiony niemal wszelkich ku temu kwalifikacji, (głos nie wyszukany, skala niska).

Prowincjonalnie patetyczna i krzykliwa deklamacja p. Rygiera budziła miejscami wprost niesmak.

Jedynie p. Siemaszkowa zgótowała zebrany prawdziwą ucztę artystyczną. Na szczególne wyróżnienie zasługuje interpretacja jej „Fortepianu Szopena” Norwida oraz „Bajki o Kasi i o królewiczu” Rydla.

MEMENTO.

W „Berliner Zeitung am Mittag” ukazało się tłumaczenie nowe-

li Ignacego Grabowskiego p. „Bucefal” pióra Róży Ressig.

Z dniem 14 Marca „Dziennik berliński” przeszedł na własność Tow. z ograniczoną poręką i od 1 kwietnia wychodzić będzie pod redakcją p. Feliksa Kasprzaka, dotychczasowego redaktora „Gazety Ostrowskiej”. Aby utrzymywać większą styczność z kolonją berlińską, dziennik ten postanowił utworzyć specjalny Komitet Redakcyjny, do którego wejdą przedstawiciele wszystkich organizacji polskich nad Sprewą.

W roku przyszłym dziennik ten będzie obchodził 20- lecie swego istnienia.

Prof. uniwersytetu berlińskiego na wydziale filozoficznym, wykładający stale historję powszechną, wydał niedawno pracę p. t. „Rząd a wola narodu”, w której jeden rozdział został poświęcony sprawie polskiej. Zarzuca on rządowi pruskiemu niekulturalne stanowisko jego względem Polaków, potępia system polityki wyłączeniowej oraz politykę szkolną. Opinia ta prof. Delbrücka wywołała duże zaniepokojenie w sferach hakatastycznych, niektóre zaś pisma, jak „Magdeburger Ztg”, chcąc złagodzić ów nastrój, wskazują, iż Sz. prof. właściwie zwalcza tutaj nie cele dotychczasowej polityki antypolskiej, lecz środki.

RÓŻNE.

W „Berliner Tageblacie” z 9-go marca, został wydrukowany szereg przysłów albańskich, które ze względu na aktualną sprawę nowego księstwa albańskiego, zaciekawiać pewnie i naszych czytelników. Podajemy dla przykładu kilka z nich:

Małe okruszyny również są chlebem.

* * *

Kiedy przemawia wilk, należy mieć na oku swe owce.

* * *

Kiedy kamień pada na garnek, biada garnkowi.

Kiedy garnek pada na kamień, biada garnkowi.

I zawsze: biada garnkowi.

* * *

Niezapłacony baran krzyczy przez cały rok.

* * *

Nie mierz swego szczęścia obcym łokciem.

* * *

Pies merda ogonem nie przed tobą, lecz przed twym chlebem.

* * *

Pies zapędzony kijem do lasu, nle ugryzie żadnego niedźwiedzia.

* * *

Kto nie ma mocnych pięści, musi posiadać szerokie plecy.

* * *

Również i wilk jest uczciwy, kiedy owce są zamknięte.

Lipsk. Teatr. Moda na pantomimy nie ustaje w Niemczech. Biorą się do niej ludzie najmniej powołani. Wczoraj jeszcze prawdziwi dramaturgowie i poeci, dziś pisarze kinematograficzni i feljtoniści. Do tych ostatnich należy Feliks Salten, o którego działalności pisaliśmy niedawno w „Echu”. Pantomina jego: „Das leckende Licht” (Nęcające światło) pozbawiona jest większych walorów artystycznych i obliczona na tani sentyment publiczności. Mowa tu o tęsknocie młodej dziewczyny do wolności, szczęścia i pieniędzy, które zdobywa dzięki sztuce tańca, potem traci je i staje

się nędzarką, lecz wszystko to nie posiada ciekawych motywów psychologicznych i stanowi banalną fabułę. Muzykę doń skomponował kapelmistrz teatru moskiewskiego, Włodzimierz Metzl.

Cottbus. Teatr. Niechęć dyrekcji teatrów niemieckich do neoklasyków powoli mija. W ostatnich czasach wystawiają ich częściej, niż kiedykolwiek. O dwóch dramatach tego typu wspominaliśmy już. Obecnie teatr prowincjonalny w Cottbus powążył się wystawić tragedję Pawła Ernsta p. t. „Brnhilda” (napisana w r. 1909 na wzór „Króla Edypa” Sofoklesa), treść do niej została zaczerpnięta z podania o Nibelungach.

Królewiec. Literatura. „Königsberger Hartungsche Zeitung” ogłosiło konkurs na napisanie powieści lokalnej na tle stosunków na kresach wschodnich Prus. Niezawodnie większość ubiegających się o nagrodę, wynoszącą 1000 marek, sięgnie po temat do życia polskiego w Poznańskim, które już wielokrotnie było opisywane przez powieściopisarzy niemieckich (najwięcej poświęca mu uwagi Klara Viebig). W skład sądu konkursowego wchodzi znany krytyk literacki i teatralny Paweł Schlenther, feljtonista „Berliner Tageblattu”, Paweł Block, Ryszard Skowronek, autor wielu powieści i opowiadań z życia mazurów („Mazur” 1888, Der Bruchhof, 1903 i inne) oraz burmistrz miasta, dr. Reicke. Konkurs będzie rozstrzygnięty 1-go Grudnia tego roku.

Rzym. Literatura. Pisma wioskie, a za nimi niemieckie doniosły niedawno, iż papież Pius X, nosi się z zamiarem skompono-

wania t. zw. motetty (krótki utwór kościelny na chóry zwykle bez akompanjamentu) utrzymanej w rytmie *Veni Creator*. Oparto go w ustępy z tekstem łacińskim. O tem wszystkim wiedział cały Rzym, oprócz jednego Piusa X. Kiedy więc zapytano go o to, zdziwiony władca Watykanu odpowiedział: „Po tańcu zatem muzyka! Jest to wszakże tak prawdą, jak prawdą jest, iż wynalazłem „Furlanę“, mającą konkursować z „Tangiem“.

— Dzięki subwencji rządu włoskiego mają wkrótce ukazać się w wydaniu zbiorowem reprodukcje, wszystkich rysunków Lionarda da Vinci. Dotychczas sfotografowano 6000 rysunków. Znaczna ich część (prawie 4000) przypada na Anglię (Londyn, Oksford, Windsor, Chatsworth). Wydanie to odda duże usługi badaczom historii sztuki.

Gabrjel d'Annunzio przerwał podobno na jakiś czas swą działalność dramatyczną, w celu ukończenia pewnego dzieła, do którego przywiązuje dużą wagę. W ostatnich czasach autor „Cudu Św. Sebastjana“ odwiedził Anglię, gdzie nań wywarły kolosalne wrażenie wyścigi psów. Książka więc, którą pisze obecnie ma być poświęcona chartom, które już z niezwykłą sympatją opisał w powieści: *Fuxo*. Nowy utwór d'Annunzia będzie napisany na wzór biografji Plutarcha. Tytuł zaś ma nosić: „*La vita dei Cani illustri*“ (Opisy życia sławnych psów). Jak widzimy, pies zaczyna grać w literaturze współczesnej coraz większą rolę. Wspomnieć należy o Maeterlincku lub o *Age Made-*

lunge: o którego książce: „*Powanie na zwierzęta i ludzi*“ pisaliśmy weszycie z d. 15 listopada.

Nauka. Korespondent „*Giornale d'Italia*“ donosi na zasadzie rozmowy prywatnej, jakoby *Ernest Heckel*, który obchodził niedawno 70-lecie swych urodzin, pracuje już od pięciu lat nad autobiografją. Sędziwy przyrodnik i filozof ma nadzieję, iż dzieło to zaciekawi cały świat naukowy, tembardziej, iż będzie w nim zobrazowany rozwój myśli filozoficznej w drugiej połowie 19-ego stulecia. Poza tem będzie ono zawierać cały szereg listów, jakie pisał lub otrzymywał od najznakomitszych uczonych europejskich. Rzecz ta ma być ukończona za lat parę.

Chrystjanja. Teatr. Niels Kjaer o którym dotychczas prawie nic nie wiedziano w Eurpie, stał się przed miesiącem przedmiotem powszechnych zachwytów. Przyczynił się ku temu nowy jego utwór dramatyczny p. t. „*Szczęśliwy wybór*“, który w pierwszej połowie lutego został wystawiony w Chrystjanji.

Przed paru laty dyr. Jarno wystawił w Wiedniu sztukę jego p. t. „*Dzień porachunku*“! Rzecz ta zapowiadała świetny talent. Po za tem firma wydawnicza *Merserburgera* ogłosiła drukiem dwa tomy jego: „*Essais'ów*“, które świadczą o pierwszorządnych zaleceniach jego pióra. Norweski historyk literatury, *Naerup*, wyraża się o nim jako o mistrzu słowa.

Nowy utwór Kjaera osnuty jest na tle politycznem i zdradza pewne pokrewieństwo z „*Weselem Figara*“ *Beaumarchais'ego*, ze

„Związkiem młodzieży“ Ibsena i Holbergem.

Niels Kjaer liczy obecnie 45 lat.

Londyn. Sztuka. Słynny obraz Valasqueza: „Wenus przed lustrem“, nabyty przez National Gallery prawie za pół miliona rubli został przez pewną sufrażetkę w wielu miejscach pocięty, tak, że uległ nieomal zupełnemu zniszczeniu.

— Odbywają się tutaj obecnie rokowania między finansistami amerykańskimi, frankfurskimi i angielskimi w celu założenia w Berlinie wielkiego dziennika między-

narodowego, który będzie ukazywać się trzy razy na dobę.

W sferach literacko-dziennikarskich projektów wywołał ogromne zainteresowanie.

Kalkutta. Literatura. W sali tronowej [pałacu królewskiego w obecności wice-konsula Indji, lorda Hardinga, będącego jednocześnie „kanclerzem“ uniwersytetu tutejszego, odbył się akt uroczysty, na którym Rabindranath Tagore oraz prof. uniwersytetu w Bonn i jeden z najpoważniejszych znawców sanskrytu, Herman Jacobi, zostali mianowani honorowymi doktorami literatury.

CI, CO ODESZLI.

Alfred Edwards — głośny dziennikarz paryski, autor dramatyczny, założyciel i długoletni redaktor „Matin'a“, zmarł w Paryżu 10 marca przeżywszy lat 57.

Gaston Calmette — Naczelnny redaktor „Figara“, jeden z bardziej znanych i wytwornych publicystów — zmarł w Paryżu po dokonanym na nim zamachu przez żonę ministra skarbu Caillaux 17 marca, przeżywszy lat 55. Był kawalerem legji honorowej.

Franciszek Jaworski — literat

i historyk, dziejopisarz Lwowa, zmarł we Lwowie 19 marca, przeżywszy lat 40.

Władysława Nidecka — literatka, zginęła pod kołami samochodu w Warszawie 22 marca, przeżywszy lat 60.

Fryderyk [Mistral — najznakomitszy poeta prowansalski zmarł w Maillane nad Rodanem 25 marca, przeżywszy lat 84. Był kawalerem legji honorowej i laureatem nagrody Nobla z 1904 r.

Za redaktora i wydawcę: Antoni Sikorski.

Papier z fabryki krajowej A. Moesa z Pilicy.

Drukarnia Artystyczna K. Kopytowskiego i S-ki, Nowy-Swiat 47.

Kilka słów o kosmetyce sezonowej.

Przedewszystkiem zaznaczyć muszę, że rozpoczynając współpracownictwo moje w dziale kosmetycznym, pragnę stać się pożyteczną i pomocną Szanownym paniom, które zechcą zwrócić łaskawą uwagę na słowa moje. Kosmetyka wogóle zajmuje od lat już kilkunastu bardzo poważne miejsce i w odnośnej nauce i we wszechświatowym przemysle i handlu. Posiada ona kilka działów, z których **lecniczo-zachowawczy** zasługuje na uznanie najpoważniejszego nawet ogółu.

Sądzę, że niema na świecie takiego cywilizowanego człowieka któren by nie pragnął posiadać gładkiej, zdrowej cery, ładnych, zębów i bujnych włosów, oraz takiego, dla którego nienormalne otłuszczenie kształtów ciała, lub też wprost w przeciwnym kierunku, nienormalna chudość, byłby pożądanę.

Otóż racjonalna, lecznicza Kosmetyka w tym właśnie **uzdrowiająco-zachowawczym** swym dziale, ma na celu przedewszystkiem zachowanie jaknajdłuższe pięknych darów natury, będących apanażem pierwszej młodości, jak również logiczną, rozumną, bo przeważnie opartą na higienie, walkę z nieublaganym czasem, żłobiącym

nam skronie, odbierającym nam harmonję rysów i kształtów.

Nawet w pierwszej już młodości, trapią urodę naszą głównie trzy plagi, a mianowicie: **wągry, piegi i wypadanie włosów**. W licznej korespondencji mojej i zawodowej praktyce, spotykam się najczęściej z temi trzema kwestjami, w zasadzie łatwemi do usunięcia, wobec Istniejących środków pomocniczych, a utrudnionemi jedynie tem, że nieledwie każda skóra ludzka ma swoje poszczególne własności i to co pomaga jednym, pozostaje bez skutku dla drugich.

Pory roku wpływają również znamienne na cerę i włosy i wymagają właściwych, że tak powiem sezonowych starań. Ostre marcowe powietrze i pierwsze kwietniowe promienie wiosennego słońca, tak wszystkim mile i pożądanę, bardzo niekorzystnie działają na zdrowotność naszego oblicza, które właśnie teraz, podlega największym dolegliwościom i wymaga specjalnego pielęgnowania. Lato ma znowu inne kosmetyczne warunki, zupełnie odmienne od jesiennych i zimowych. Błędnem byłoby mniemanie, że owe racjonalne higieniczno-kosmetyczne starania, zabierają zbyt wiele czasu. Nawet przy inten-

sywnej, zawodowej pracy, każda cywilizowana, a więc dbająca o swą powierzchowność osoba — **powinna, musi, znaleźć** jakieś pół godziny lub godzinę czasu dziennie i poświęcić ją pielęgnowaniu swej powierzchowności; jest to niezbędny warunek życiowej harmonji i równowagi. Nie chodzi tu oczywiście o jakieś drobiazgowo, przesadne, kosmetyczne manipulacje, trwające nieskończenie, lecz o systematyczne postępowanie z cerą, z włosami i t. d., prowadzące do jaknajlepszych rezultatów.

Szereg porad moich i wskazówek zaczynam od **najpilniejszej obecnie kwestji** t. j. od piegów, występujących z początkiem wiosny, z całą siłą, na twarze osób piegami dotkniętych. Całymi szeregami lat zagranicą i u nas specjaliści w tym dziale, silili się na skombinowanie przetworu niszczącego bezpowrotnie piegi, czyli pigment skórnny i niestety wyznać należy, że jak dotąd radykalnego środka przeciw piegom nie wynaleziono i piegów **raz na zawsze** żadnym, znanym dotąd preparatem pozbyć się nie można. Leczyć je można tylko sezonowo, przedłużając leczenie przez całe lato. Wszelkie szumne reklamy, zawarte najczęściej w słowach: „Środek radykalny przeciw piegom” są najprostszą błągą. Ze znanych mi środków antybiegowych paryskich, najskuteczniej działa

Lait Antephelique, niezmiernie znany i rozpowszechniony w Paryżu. Z naszych krajowych wyróżniam: Dawny stosowany całym szeregiem lat u nas **Lanol** bardzo skuteczny, **Krem D-ra Orgley'a**, oraz **Preciosa**. W całym wielkim antybiegowym, kosmetycznym repertuarze, nie spotkałam środków skuteczniejszych. Chcąc leczyć piegi, trzeba zawsze myć twarz na noc wodą przegotowaną, letnią, mydłem **przetłuszczonem, higienicznym, ogórkowem**, po obtarciu natrzeć twarz jednym z powyższych środków, rano odświeżyć twarz **Wodą różaną Radiowaną**, znowu natrzeć wybranym środkiem leczniczym, zetrzeć zbyteczny i zapudrować twarz **pu-drem higienicznym**.

O wągrach i chorobach włosów pomówię w następnym numerze „Echa”.

Gdyby która z Szanownych czytelniczek chciała zasięgnąć poszczególnej, piśmiennej porady, w kwestjach kosmetycznych, toaletowych, lub zawierających informacje podróźnicze, to zechce łaskawie napisać do Redakcji „Echa” dodając na kopercie „*dla Pani Mercèle*”, odpowiem szczegółowo w następnym numerze. Jest to nader dyskretny (bó pseudonimowy) sposób uświadomienia się w żądanej kwestji — a kosztuje tylko markę pocztową.

Marcèle.

Bezpłatna Nauka!

Każdy nabywca podręczników p. t. **Samouczków** pedagoga **Pl. Reussnera**, uznanych już od r. 1880 za najlepsze, może się nauczyć **bezpłatnie**, bo **bez nauczyciela**, sam czytać, pisać i rozmawiać bardzo łatwo, prędko i gruntownie po **angielsku, francusku, niemiecku i rosyjsku**. Około **900,000** zwolenników metody nauczania **Reussnera** i **2,000** jego uczniów osobistych, zajmujących już wysokie stanowiska dzięki **Samouczkom** jego, dają rękojmię o nadzwyczajnej łatwości, praktyczności i użyteczności tychże **Samouczków**, których ceny są stosunkowo niskie, np.: kop. 5, 12, 24, 40, 75, 80, 1.20, 1.40, 1.60. W **Ameryce** są bardzo poszukiwane **Samouczki Reussnera**, za cenę 2, 3 i 4 razy wyższą, niż w **Europie**, bo ich tam trudno dostać.

Po wysłaniu 1 marki za 7 kop. na opłatę poczty do autora (**Reussnera**), ul. **Złota 6** w **Warszawie**, każdy otrzyma zeszyt I-szy okazowy **Samouczka bezpłatnie**.

Pensjonaty

D-rowej **A. SAWICKIEJ**

Warszawa: **Hypoteczna 5**, obok **Teatru Nowości**.
Otwarty rok cały. № telefonu 288-75.

Ciechocinek: Dworki „**Warszawianka**” i „**Świtezianka**” od 20 maja do 20 września.

URZĄDZENIE NOWOCZESNE.

Ceny umiarkowane.